13 Rok XVI (802)
CENA 1.50 ZŁ
1.4.73

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

## Ślepy traf

Nie widziałem go dwa lata — może więcej, nie wiedziałem co robi, gdzie go nosi, z czego żyje... Czy przypadkiem nie strzeliło mu coś do głupiego, szalonego łba i kto wie, może znów za wolnością płacze i pisze kumplom z celi okolicznościowe wiersze?

Czytaj na str. 7

# ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

## PREZENTACJE

Spotkanie z Jadwigą Andrzejewską — aktorką Państwowego Teatru Powszechnego w Łodzi — przebiegło w scenerii, jaką można sobie tylko wymarzyć do rozmowy z aktorem. Usiadłyśmy w jej teatralnej garderobie. Odbywała się właśnie próba rumuńskiej sztuki „Arka dobrej nadziei". Pani Andrzejewska była w kostiumie, gra w tej sztuce rolę matki. Z głośnika, zainstalowanego w garderobie słychać było uwagi reżysera i inspicjentki oraz fragmenty dialogu ze sceny. Rozmawiałyśmy w przerwach, kiedy akcja sztuki nie wymagała obecności aktorki na scenie.

## JADWIGA ANDRZEJEWSKA

**— Pani debiut teatralny, to już cała legenda. Czy mogłaby Pani przypomnieć ją jeszcze raz?**

— To rzeczywiście był wyjątkowy debiut. Urodziłam się w Łodzi, przy ul. Cegielnianej, tam, gdzie był kiedyś Teatr Miejski, a dziś Teatr im. S. Jaracza. Mój ojciec pracował w Teatrze Miejskim. Wiem z opowiadania mamy, że kiedy miałam sześć tygodni, do spektaklu było potrzebne dziecko, które musiało płakać. Zastanawiano się, co robić. Aż ktoś powiedział: przecież u Andrzejewskich urodziło się dziecko, może zgodzą się dać. No i mama zgodziła się. Aktorka, która grała matkę, szczypała mnie, a ja płakałam. To właśnie była moja pierwsza rola teatralna.

**— A później? Ile czasu czekała Pani na następną rolę?**

— Niedługo. Wiadomo bowiem było, że jak na scenie

Dalszy ciąg na str. 3

## PIÓW PO KORZENIAMI

RYSZARD BINKOWSKI

Świt otrząsał się z popielatej zasłony i przechodził w ogniste zarzewie. W rozwalonym, gliniastym kretowisku, pośród hałd brylastej ziemi, krążyli ospale pierwsi robotnicy; majster pokrzykiwał, wyznaczając stanowiska pracy. Trzęsły się żelazne pudła autobusów, szarpane wibrującym jękiem silników. Ożywał Dworzec Fabryczny.

Przed wyszklonymi gablotami nowych kas biletowych sterczały kolejki delegacyjnych gości. Jakiś botanik w okularach w złotej oprawce przykucał pod stojącymi w poczekalni palmami, podskubywał od spodu liście i cmokał.

Zazgrzytało, zacharczało pod sufitem: „Pociąg do Warszawy Wschodniej jest podstawiony..."

Botanik rzucił się do kasy.

**— Niestety, nie mogę wydać reszty z tysiączka** — uśmiechnęła się za szybą

Dalszy ciąg na str. 5

## HAMLETA...

WANDA KARCZEWSKA

**Kurtyna odsłonięta. Widz wchodzący na widownię natrafia od razu wzrokiem na nie oświetloną scenę; nagie, czarne, jakby nadpalone bale i belki trójpoziomej, szekspirowskiej „maszyny do grania". Wąska galeria biegnie w poprzek sceny, z pośrodka jej prowadzą w dół schody przecięte w połowie jedną płaszczyzną platformy. Na dole, na poziomie właściwej sceny — stosy ziemi, gruzu, rozsypane grudy. Wszystko tutaj wydaje się pogrążonym w ciemności rumowiskiem, spalenizną, jakby nieprawość — występna miłość pary królewskiej, żądza władzy zdobytej i utrzymanej przez zbrodnie — strawiła żarem cały pejzaż Elsynoru, który zmierza do śmierci, do**

Dalszy ciąg na str. 6

## aeg

*Szanowny Panie!*

*Przepraszam, że listem moim zajmuję czas, ale sprawa z jaką się zwracam jest problemem nurtującym od dawna mnie i kolegów. Urodziliśmy się w Kłodzku, mieście wielu zabytków. Historia tego miasta jest nam prawie znana. Tak, rzuca się od razu wyraz „prawie", który i nas w Kłodzku nurtuje.*

*Wznosząca się w centrum miasta potężna twierdza kryje wiele tajemnic z drugiej wojny światowej. Wiemy, że w okresie okupacji był Pan w Kłodzku i przebywał w twierdzy, było tam około 1500 łodzian. Czytaliśmy o tym w Roczniku Ziemi Kłodzkiej, ale chcielibyśmy więcej informacji o tych wydarzeniach, które bardzo interesują nasz szczep harcerski. Wiemy, że powracanie do tamtych czasów jest nieraz ciężkie, ale na spełnieniu tej prośby bardzo nam zależy.*

*Dziękuję — Bogusław Saladaj, Kłodzko, ul. Lutycka 5a.*

Dalszy ciąg na str. 4

ADAM BIEŃKOWSKI

## Na Rynku Wodnym

*30 lat temu (1)*

## ODGŁOSY

Reklama była dźwignią handlu. Czym jest teraz? Mam na myśli reklamę szeroko pojętą. A więc i tę, którą można spotkać na łamach pism i gazet codziennych, jak i tę, która straszy lub zachwyca ze ścian domów, reklamę uprawianą w formie plakatów, z anteny radiowej, reklamę w postaci mniej lub bardziej kolorowych neonów. Czym ona teraz jest?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że spełnia też rolę informacyjną. Wielki kolorowy napis: „SDH Central..." i adres — jest niczym innym jak tylko napisem informacyjnym. Podobny charakter mają też wszelkie doniesienia o tym, że „wiosna w Uniwersalu", „biały tydzień w MHD" lub, że w PSS wielka posezonowa obniżka cen, co zresztą zdarza się dość rzadko.

Również charakter informacyjny mają wielkie, kolorowe i w dodatku ruchome neony, jakich w Łodzi jest zaledwie kilka. Kiedy na gmachu stojącym przy południowej stronie Placu Niepodległości zapala się i gaśnie wielki napis: „Uniwersal", to owszem bawi mnie to, jest ładne, ale i informuje o tym, co mieści się pod tym napisem, a jednocześnie też przypomina, że trzeba będzie tam przy najbliższej okazji wstąpić, bo już wiosna, a ja zgubiłem wiosenne rękawiczki.

Proszę jednak zwrócić uwagę na taki szczegół, że najskromniej o swojej obecności w mieście informuje niejaki „Domus". A przecież jest to dom meblowy, a przecież w mieście buduje się już blisko 30 tys. izb mieszkalnych w roku, nowe wieżowce rosną jak grzyby po deszczu, choć budowlani mają kłopoty z wykonywaniem planu i nie zawsze żyją w zgodzie z kalendarzem. A „Domus" stoi sobie skromnie przy ulicy Piotrkowskiej i ani myśli krzyczeć kolorowymi napisami: nowoczesne meble tylko tutaj! Tajemnica tej skromności jest prosta: klient nie ma wielkiego wyboru nowoczesnych mebli. Meble kupuje się przecież na lata i każdy chce kupić coś, co jest trwałe, ładne, wygodne i modne. Wymagania duże, ale też i trudne do spełnienia. A przemysł meblowy nie nadąża za szybko rosnącymi potrzebami. Nie ma więc potrzeby reklamowania czegokolwiek. I tak wszystko pójdzie jak woda.

Można mówić, że reklama ma też walory estetyczne, bo upiększa miasto dniem i nocą. To wszystko prawda, ale reklama zaczyna funkcjonować naprawdę tylko wtedy, kiedy na rynku podaż wyprzedza popyt, kiedy jest więcej towaru niż chętnych do jego kupna. I wtedy szukają pomysłów, którymi mogliby zwrócić uwagę na swój towar. I tu zaczyna się nowa cecha reklamy, staje się ona krzykliwa, musi się wyróżnić pomysłem, kolorem, formą z gąszcza innych reklam. Co prawda u nas takiego gąszcza jak na razie nie ma, ale ciekawe reklamy też się pojawiają.

Myślę, że nie można lekceważyć reklamy, że trzeba umiejętnie wykorzystywać wszystkie jej funkcje, a więc i informacyjną, estetyczną i każdą inną, która każe dzięki reklamie zwracać uwagę na te a nie inne towary, która zmusza odbiorcę do zastanowienia się: a może kupić? Niektórzy skłonni są twierdzić, że w naszych warunkach reklama nie odgrywa takiej roli, jak w państwach, gdzie na rynku konkurują między sobą wielcy producenci. Myślę, że w miarę rozwoju potencjału produkcyjnego również i u nas będzie potrzeba coraz sprawniejszej reklamy. I o tym warto myśleć już teraz.

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

# PO XIII KONFERENCJI WOJEWÓDZKIEJ

**W ubiegłą sobotę obradowali w Łodzi przedstawiciele 160-tysięcznej wojewódzkiej organizacji partyjnej zebrani na swej trzynastej Konferencji. Udział w Konferencji wziął członek Biura Politycznego KC PZPR, wicepremier Józef Tejchma, I sekretarz KŁ PZPR Bolesław Koperski oraz szereg innych przedstawicieli centralnych władz partyjnych i administracyjnych. Konferencja dokonała wyboru Komitetu Wojewódzkiego, Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej i Komisji Kontroli Partii. I sekretarzem KW został wybrany ponownie tow. Jerzy Muszyński. Sekretarzami wybrano Jana Dębowskiego, Ludwika Maźnickiego, Włodzimierza Mielczarka i Tadeusza Stasiaka.**

Wstępem do rzeczowej, gospodarskiej dyskusji w której zabrało głos 25 mówców, były wystąpienia I sekretarza KW Jerzego Muszyńskiego i z-cy przewodniczącego Prezydium WRN M. Augustyniaka. Przedstawiono w nich całokształt pracy partyjnej, realizacje zadań gospodarczych, jakie miały miejsce w czasie ubiegłej, dwuletniej kadencji Komitetu Wojewódzkiego; dokonano oceny realizacji uchwał partyjnych od ostatniej Konferencji.

Dwa ostatnie lata na Ziemi Łódzkiej to okres wzmożonej działalności nad przyspieszeniem wykonania zadań i celów zawartych w Uchwale VI Zjazdu — zamknięty pozytywnym bilansem. W roku 1972 zadania produkcyjne we wszystkich działach gospodarki (za wyjątkiem usług) zostały wykonane z nadwyżką. Bardzo korzystne wyniki osiągnięto w produkcji rolnej. Rok bieżący zapowiada się także pomyślnie. Do połowy marca załogi przedsiębiorstw województwa łódzkiego podjęły zobowiązania dodatkowej produkcji o wartości przekraczającej miliard złotych, zadeklarowano czyny społeczne wartości 370 mln zł.

Ogólny rozwój gospodarczy województwa daje podstawę do zadowolenia, ale nadal występuje szereg negatywnych zjawisk, hamujących postęp. Należą do nich m. in. niewłaściwa organizacja pracy w wielu zakładach, zakłócenia w procesach inwestycyjnych, wzrost absencji. Tym nieprawidłowościom organizacje partyjne wypowiedziały zdecydowaną walkę. Potwierdził to przebieg dyskusji, jak i wcześniejsze wypowiedzi delegatów na środowiskowych spotkaniach konsultacyjnych, gdzie 235 towarzyszy zgłosiło szereg konkretnych wniosków i postulatów.

Biorąc pod uwagę wysoką materiałochłonność produkcji w województwie łódzkim (63 proc. udziału kosztu materiałów) organizacje partyjne poświęciły wiele uwagi realizacji uchwały KW PZPR ub. roku osiągając pozytywne rezultaty. Np. dzięki zmianom w technologii i konstrukcji, przez zastosowanie analizy wartości, poważnie złagodzono ten problem. Po raz pierwszy od szeregu lat osiągnięto prawidłowe relacje między wzrostem produkcji (11,5 proc.) a przyrostem zapasów (5,6 proc.). Podjęte wysiłki w tym zakresie pozwolą w roku 1973 osiągnąć oszczędności w wysokości ponad 144 mln zł.

W całokształcie działań zmierzających do przyspieszenia rozwoju gospodarczego województwa naczelne miejsce zajmuje rolnictwo. Stosunkowo słabe gleby, duże zasoby siły roboczej, określają jednoznacznie kierunki rozwoju rolnictwa, wyznaczają pierwszoplanową pozycję produkcji zwierzęcej. Wiąże się to z dalszym rozwojem bazy paszowej, racjonalnym wykorzystaniem gruntów, budownictwem inwentarskim. Zagadnienia te warunkuje w równym stopniu bardziej operatywna działalność samorządu chłopskiego i zwiększona aktywność społeczno-produkcyjna wszystkich rolników.

Wiele uwagi podczas obrad Konferencji poświęcono zagadnieniom inwestycyjnym oraz sprawom handlu i usług w miastach i wsiach województwa. Plan inwestycyjny na lata 71—75 przewiduje wydatkowanie ponad 41 mld zł i jego wartościowa realizacja przedstawia się dobrze. Nie w pełni wykorzystano planowane środki na poszczególne lata. M. in. w inwestycjach rolniczych i oświatowych. Podjęto jednak już niezbędne wnioski gwarantujące pełne wykonanie zadań bieżącego roku i lat następnych. Natomiast bez zakłóceń przebiega realizacja planu budownictwa mieszkaniowego. Tempo prac jest nawet znacznie szybsze niż zakładał plan 5-letni, co pozwoli przekroczyć pierwotne założenia o ok. 10 tys. izb.

Jednym z wielu istotnych osiągnięć wojewódzkiej organizacji partyjnej w ostatnim okresie są pozytywne przemiany w dziedzinie świadomości społecznej. Potwierdzili to delegaci różnych środowisk mówiąc o wyraźnym wzroście zaangażowania w pracy na rzecz realizacji programu VI Zjazdu, na rzecz przyspieszania kroku i równania do najlepszych. Jest to wynik powszechnie aprobowanej pogrudniowej polityki partii oraz wyraźnie poprawiającej się pracy ideowo-politycznej i organizatorskiej terenowych ogniw partii.

XIII Konferencja podjęła uchwałę, wytyczyła ambitny program działania na najbliższe lata. Zadania te są trudne, ale realne. „Wykonamy je — powiedział I sekretarz KW Jerzy Muszyński — jeśli całe społeczeństwo skupimy wokół programu partii, jeśli będziemy działać skutecznie, z uporem pokonywać trudności, jeśli każdy członek partii na powierzonym mu odcinku, osobistą postawą dawać będzie przykład dobrej roboty".

**(J. ŻAK)**

# ZIELONE WIDMO

**Gdybym za każde zamierzenie, o którym trafiło mi się przeczytać w gazetach, a które nie zostało spełnione, otrzymał tylko po sto złotych, to byłbym bardzo bogatym człowiekiem. Byłoby miłe wtedy stać na diabelnie luksusowe życie i jeszcze sporo pieniędzy przekazałbym na cele społeczne. Za samą „zieloną falę" otrzymałbym sporo grosza.**

**Nie zorientowanemu czytelnikowi pragnę wyjaśnić, że „zielona fala" jest to takie urządzenie, które pozwala w dużych miastach tworzyć arterie komunikacyjne o jednolicie postępującym ruchu. W Łodzi na przykład, gdyby na ulicy Piotrkowskiej była „zielona fala", to samochód wjeżdżający w tę ulicę z placu Wolności, jechałby przez wszystkie skrzyżowania przy zielonym świetle, pod warunkiem, oczywiście, że posuwałby się z określoną szybkością. I pod drugim warunkiem, że ulica Piotrkowska nie byłaby akurat w kolejnej przebudowie.**

**Za tę „zieloną falę" otrzymałbym dlatego tyle grosza, że już kilkakrotnie zdarzało mi się czytać zapowiedzi władz komunikacyjnych o wprowadzeniu takiego udogodnienia dla ruchu samochodowego. Wymieniano już nawet kilka terminów. Terminy te minęły, a „zielonej fali" jak nie było tak nie ma. Ostatnio znów niczym widmo krążące nad Łodzią, pojawiła się kolejna zapowiedź założenia „zielonej fali". Tym razem dla odmiany „zieloną falę" ma się założyć na skrzyżowaniach ulic: Kościuszki, Zachodniej, Limanowskiego i Aleksandrowskiej.**

**Przy okazji dowiedzieliśmy się, że w Łodzi — drugim przecież mieście w kraju — są dzielnice, które do niedawna nie miały ani jednego skrzyżowania ze świetlną sygnalizacją. Są to — Widzew i Górna. Na Widzewie założono pierwszą świetlną sygnalizację. Na Górnej dopiero się planuje. Ale wróćmy do chwalebnych zapowiedzi.**

**Nie chodzi mi już wcale o „zieloną falę". Dla tej, która ma połączyć Bałuty ze Śródmieściem, urządzenia sterownicze tworzy „Elester". Miejmy nadzieję, że tym razem nie są to gołosłowne zapewnienia. Choć ja osobiście w to nie wierzę. Zbyt często mnie już o „zielonej fali" i innych widmowych innowacjach zapewniano, abym mógł pozwolić sobie na luksus łatwowierności. Chodzi mi bardziej o zasadę, o mechanizm powstawania takich obiecanek cacanek, z których nie wiadomo, czy się cieszyć, że gonimy światowy postęp sprzed kilku lub kilkunastu lat, czy też płakać, że stale coś tam nam nie wychodzi.**

**Wiem, że lubimy chwalić się i że już nawet niektóre dyskusje zamieniliśmy w okazje do chwalenia się tym, co zrobiliśmy i czego nie zrobiliśmy. Ale przecież o różnych technicznych innowacjach mówią ludzie odpowiedzialni, którzy orientują się w technicznych warunkach ich realizacji. Ja nawet rozumiem, że ktoś od czasu do czasu chciałby pomarzyć i to publicznie, po prostu podzielić się swoimi marzeniami z innymi. Ludzka to sprawa. Niechże jednak zastrzeże, że to jego prywatne marzenia, i że ponosi całą odpowiedzialność za brak ich realizacji. Jego sprawa, ale co nam do tego.**

**Myślę jednak, że przyczyna rozdźwięku między zapowiedziami, a ich realizacją jest głębsza. Leży ona chyba w braku właściwej koordynacji. Dawniej mówiło się, że nie wie prawica, co robi lewica. Tłumacząc to na język współczesny, można to tak określić, że piękne plany wielu instytucji nie znajdują po prostu możliwości produkcyjnych w zupełnie już innych przedsiębiorstwach. A bywa i tak, że nawet w tym samym zjednoczeniu.**

**Pamiętam, jak przed laty, gdy przy ulicy Piotrkowskiej otwierano sklep serowarski, zapewniano, że teraz będzie serów pod dostatkiem i to bardzo różnych. Serów jest, ale nie są one znów tak bardzo różne. Dlaczego? Jeśli nawet w Łódzkiem nie robi się takiej różnorodności serów, jaką zna świat, albo choćby tylko nasz kraj, to można je sprowadzać z innych rejonów Polski. Tu nie ma chyba żadnych trudności produkcyjnych. Po prostu niektórzy handlowcy wykazują zbyt mało inicjatywy. Producenci innych wyrobów zresztą również. I w tym cała tajemnica owych widmowych zapowiedzi.**

**MARCIN RODAK**

# *ZE ŚWIATA*

*Wiosna 1973 roku zastaje świat w atmosferze odprężenia. Jego elementy znamy aż nadto dobrze. Pokojowa strategia socjalistycznej wspólnoty przynosi pomyślne rezultaty, umacnia się międzynarodowe bezpieczeństwo. Korzystne przemiany obserwujemy także na naszym kontynencie. Konsultacje w Helsinkach biegną pomyślnie i z pewnością wkrótce dowiemy się o terminie europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Będzie to wydarzenie najwyższej rangi, o perspektywicznej doniosłości. W procesie europejskiego odprężenia poczesne miejsce zajmuje normalizacja stosunków między krajami socjalistycznymi a NRF. Pakiet zawartych porozumień zamknął okres walki o uznanie powojennych realiów, otworzył nowe możliwości, które przez uregulowanie spraw między Czechosłowacją i NRF, wprowadzenie w życie układu NRD — NRF oraz wejście obu państw niemieckich do ONZ, powinny być jak najlepiej wykorzystane dla zapewnienia trwałego pokoju na europejskim kontynencie.*

*Jeśli chodzi o Polskę — to przez zawarcie układu i nawiązanie stosunków dyplomatycznych z NRF otworzyliśmy możliwości pokojowego współżycia z tym krajem. Są po temu podstawy, ale tylko podstawy, gdyż — jak mówił na wojewódzkiej konferencji sprawozdawczo-wyborczej w Poznaniu Edward Gierek — zawarcie układu „nie zlikwidowało rachunku krzywd, wyrządzonych narodowi polskiemu przez zbrodniczy hitleryzm, rachunku strat, które długo jeszcze odczuwać będzie nasze społeczeństwo".*

*„Myślimy także — mówił dalej I sekretarz KC PZPR — o perspektywie rozwoju stosunków ekonomicznych. W ostatnich latach między Polską i NRF następuje poważny wzrost wymiany gospodarczej. Może ona i powinna ulegać dalszej rozbudowie oraz obejmować nowe formy, zwłaszcza kooperacji przemysłowej. Wymaga to jednak wspólnego rozważenia i rozstrzygnięcia szeregu problemów, które dotychczas poważnie ograniczają te stosunki i mogą jeszcze bardziej zaciążyć na dalszym ich rozwoju".*

*Edward Gierek przypomniał następnie, że zagadnienia te znane są rządowi NRF i z pewnością zajdzie potrzeba dalszych rozmów między obu krajami na temat spraw, związanych z kontynuacją procesu normalizacji.*

*W ten sposób Polska wyraziła gotowość nawiązania dialogu, którego rezultaty zależeć będą całkowicie od postawy rządu NRF. Pierwsze komentarze prasy zachodnioniemieckiej wskazują, że propozycja nasza wzbudziła duże zainteresowanie w Bonn.*

*W kręgu problemów międzynarodowych, które najwięcej miejsca wypełniają na łamach pism zarówno informacjami jak i komentarzami, znów znajdują się Indochiny. Proces przywracania pokoju nie przebiega łatwo. W Wietnamie Południowym — mimo wielkiego wkładu pracy Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru — nie ma jeszcze całkowitego spokoju, administracja sajgońska przeprowadza wciąż nowe operacje wojskowe, których celem jest zawładnięcie obszarami kontrolowanymi przez Tymczasowy Rząd Rewolucyjny. Gwałtowne walki toczą się w Kambodży, a rząd Lon Nola ogłosił ostatnio zbrojne pogotowie w obawie przed atakiem sił patriotycznych na stolicę.*

*Stany Zjednoczone wstrzymały ewakuację swych wojsk z Wietnamu Południowego, chociaż uzgodniony porozumieniem termin jej zakończenia mija 28 marca. W tym czasie powinni być również uwolnieni jeńcy wojenni.*

*Tymczasem pod Paryżem trwają rozmowy delegatów Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego i administracji sajgońskiej, poświęcone problemom politycznym Wietnamu Południowego. Dotyczą one zagwarantowania pokoju i swobód demokratycznych, możliwie jak najszybszego powołania Rady Pojednania i Zgody Narodowej oraz przeprowadzenia wyborów. — Jest pora — mówił przedstawiciel TRR, komentując paryskie rozmowy — aby osiągnąć pojednanie, zakazać wszelkich represji wobec osób, które współpracowały z jedną lub drugą stroną, usunąć nienawiść. Istnienie dwóch administracji jest tymczasowe, w wyniku wyborów powinna powstać jedna, prawdziwie demokratyczna administracja.*

*I jeszcze jedna informacja z frontu negocjacji, tym razem z Laosu. 21 marca minął 30-dniowy termin, w jakim dwie strony: administracja vientiańska i patriotyczny front — miały utworzyć koalicyjny rząd tymczasowy. Niestety, nie osiągnięto w tym czasie porozumienia. Również w sprawie powołania tymczasowej rady politycznej. Kiedy to nastąpi — nie wiadomo.*

*Nikt nie łudził się, że przywracanie pokoju w Indochinach będzie przebiegało bez trudności. Wieloletniego stanu wojny i jego następstw nie można usunąć z dnia na dzień. Jednak próg trudności mógłby być mniejszy — zważywszy czasokres, który minął od paryskiego porozumienia w sprawie Wietnamu.*

*W ub. tygodniu pisaliśmy m. in. o toczących się w Genewie rozmowach radziecko-amerykańskich oraz obradach komitetu rozbrojeniowego 25 państw. Co jest przedmiotem dyskusji?*

*Obecna faza SALT ma za zadanie przygotowanie szerszego porozumienia na temat ograniczenia zbrojeń nuklearnych, które miałoby zastąpić porozumienie tymczasowe, podpisane w maju ub. roku w Moskwie przez L. Breżniewa i R. Nixona, a dotyczące ograniczenia liczebności ofensywnych pocisków rakietowych.*

*Rozmowy radziecko-amerykańskie mają charakter ściśle poufny, trudno zatem ocenić ich przebieg.*

*W komitecie rozbrojeniowym natomiast dyskutuje się zakaz produkowania broni chemicznej i prowadzenia nad nimi badań. Jak informują korespondenci, głównym przedmiotem kontrowersji jest teraz sposób kontroli postanowień przyszłego układu. Różnice zdań na ten temat — zdaniem niektórych obserwatorów — wprowadziły konferencję w impas.*

*W. SŁAWSKI*

ODGŁOSY

**Redaguje zespół:** JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

**Stale współpracują:** KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

# Jadwiga Andrzejewska

(Dalszy ciąg ze str. 1)

potrzebne jest dziecko, to można wziąć je od Andrzejewskich. Grywałam więc w bajeczkach i sztukach. Ale to wiem z opowiadań. Pamiętam natomiast rolę uczennicy, którą grałam w sztuce „Nauczycielka". Główną rolę grała wówczas Irena Solska, która przyjechała do Łodzi na gościnne występy. Grałam też u Józefa Pilarskiego — wówczas dyrektora Teatru Popularnego przy ul. Ogrodowej, który „wypożyczał" mnie od mamy. Grałam główną rolę w sztuce „Dwaj malcy". Tę rolę pamięta Mieczysław Jagoszewski, który pisywał o mnie już wtedy, kiedy miałam parę latek. Zachowała mi się nawet recenzja pana Jagoszewskiego z „Błękitnego ptaka" Maurice Maeterlincka, którą to sztukę wystawił Teatr Miejski.

**— I już została Pani w teatrze?**

— No, niezupełnie. Kiedy miałam piętnaście lat, obraziłam się na teatr. Zaczął się nowy sezon, dostałam rólkę i odebrano mi ją, bo przyjechała inna aktorka. Rozżaliłam się, powiedziałam: nie chcę już być artystką, a przecież byłam na razie tylko statystką, pójdę do pracy. I poszukałam sobie pracę w sklepie z materiałami piśmiennymi przy ul. Piotrkowskiej, tam, gdzie dziś jest księgarnia „Pegaz". Właściciel tego sklepu, który znał mnie z teatru, powiedział któregoś dnia: Słuchaj Jadziu, ty lepiej wróć do teatru, ty nie masz tu co robić.

**— I wróciła Pani?**

— Tak, ale już nie do Teatru Miejskiego. Pomogły mi koleżanki statystki i dostałam się do „Jaru", takiej rewietki przy ul. Kilińskiego, gdzie próbowałam szczęścia nawet w balecie. I właśnie wtedy przyjechał ktoś z Warszawy, z polecenia Karola Adwentowicza, prowadzącego w Warszawie Teatr Kameralny. Mieli dla mnie rolę Manueli w „Dziewczętach w mundurkach". Przez cały 1932 rok grałam w tej sztuce, a potem zaangażował mnie Stefan Krzywoszewski do Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej, które prowadziło cztery teatry. Grałam wówczas z Józefem Węgrzynem, Kazimierzem Junoszą-Stępowskim, Wojciechem Brydzińskim. W Teatrze Polskim grałam rolę Soni w „Zbrodni i karze" Fiodora Dostojewskiego. Tak było przez sezon, a później nie angażowałam się na stałe, zaczęła się moja przygoda z filmem.

**— Jaka była Pani pierwsza rola w filmie?**

— Zaproponowano mi rolę Ewy w „Dziejach grzechu", ale okazało się, że w pierwszej części wszystko było dobrze, w drugiej, gdzie Ewa jest już dojrzałą kobietą, grać nie mogłam, bo byłam po prostu zbyt młoda. Żeby więc nie robić mi przykrości, dano mi w tym filmie rólkę kwiaciarki.

**— Nie był to więc początek zachęcający.**

— Ale później było już lepiej. Na zamówienie producenta napisano scenariusz filmu „Wyrok życia". Napisano go dla Ireny Eichlerówny, Dobiesława Damięckiego — ojca naszych dwóch Damięckich — i dla mnie. Film ten zakupili Niemcy, a później, w 1937 roku, scenariusz kupili Francuzi i w ich filmie grałam tę samą rolę.

**— Z teatru Pani nie zrezygnowała?**

— Nie, chociaż nie zaangażowałam się nigdzie na stałe. Występowałam na przykład w rewii. Julian Tuwim zaczął nawet przerabiać dla mnie bajki Andersena. Przerobił właściwie tylko dwie: „Dziewczynkę z zapałkami" i „Księżniczkę na groszku". Grywałam w teatrze. U Stefana Jaracza w „Pannie Maliczewskiej", u Karola Adwentowicza — w „Maturze", wtedy Tadeusz Boy-Żeleński napisał recenzję, w której posługując się tytułami sztuki zażartował, że byłam w internacie i skończyłam szkołę, to były „Dziewczęta w mundurkach", a teraz robię maturę, a potem — napisał — poślemy ją na uniwersytet i już będzie z niej pełna aktorka. Jednocześnie grywałam w filmach.

**— W ilu przedwojennych filmach Pani wystąpiła?**

— W piętnastu.

**— Wolała Pani dramat czy komedię?**

— Zaczęłam od dramatu. Pierwszym był „Wyrok życia", potem grałam w „Dziewczętach z Nowolipek", „Strachach", „Moi rodzice rozwodzą się", „Kobietach nad przepaścią", „Doktorze Murku". Mówię oczywiście o rolach i rólkach. Ponieważ jednak z natury byłam wesoła, postanowiono wypróbować mnie w komedii. Dano mi epizodzik w filmie „Ada to nie wypada". Stworzono wtedy typka: w okularkach, na krzywawych nóżkach. Potem była „Zapomniana melodia", też w okularkach i „Papa się żeni". Grałam jeszcze w „Szczęśliwej trzynastce", „Dorożkarzu nr 13" i w „Wacusiu".

Ale zapytała pani, co bardziej wolę. Lubiłam i lubię tak dramat jak i komedię. Uważam, że aktor powinien mieszać oba rodzaje, daje mu to bowiem możliwość pokazania swoich umiejętności i wzbogaca warsztat aktorski.

**— Pani filmową karierę przerwała wojna?**

— No, nie tylko moją. Tuż przed samą wojną wyjechałam z Warszawy do Lwowa. W pierwszych dniach wojny znalazłam się w Równem, gdzie w tym czasie byli m. in. Adolf Dymsza, Eugeniusz Bodo, Zofia Ternè, Konrad Tom. W październiku chyba, wszyscy wyjechaliśmy do Lwowa i tam założyliśmy teatr. Pomagał nam wówczas Aleksander Kornijczuk, a opiekowała się nami Wanda Wasilewska. Zespół zaczął jeździć z występami po Związku Radzieckim. Potem przeszliśmy do teatrów wojskowych i zjeździliśmy Bliski Wschód, Afrykę, aby wylądować w Anglii. Przez cały ten czas grałam w teatrze. W 1947 roku wróciłam do Polski.

**— Do Łodzi?**

— Tak. Żyła wtedy jeszcze matka. Zamieszkałam z córką u niej i grałam w „Syrenie". Z „Syreną" przeniosłam się na jeden sezon do Warszawy. Wróciłam jednak do Łodzi, do teatru, który prowadził Karol Adwentowicz. Grałam wtedy w „Wielkim człowieku do małych interesów", w „Niemcach" Leona Kruczkowskiego, „Wczoraj i przedwczoraj" Aleksandra Maliszewskiego.

Potem był sezon w Teatrze im. Stefana Jaracza. Igor Sikirycki, który był wówczas dyrektorem Teatru Satyryków „7,15", zaproponował mi przejście do tego teatru. Po połączeniu „7,15" z teatrem im. St. Jaracza, znów przeniosłam się do Teatru Powszechnego i tu — jak pani wie — zostałam.

**— Telewizja często przypomina filmy przedwojenne, również te z Pani udziałem. Jak Pani je dziś odbiera?**

— Dziś niektórzy wybrzydzają na te filmy. Pewnie, że pochodzą one z innego okresu, inaczej się wtedy mówiło, grało, ubierało. Mnie to nie razi. Nie dlatego, że ja w tych filmach grałam. Ze wzruszeniem patrzę na wszystkie stare filmy. I płaczę. I jeszcze sobie myślę, Boże, co się ze mnie zrobiło przez te lata. Ale takie jest życie.

**— Jak się wtedy kręciło filmy?**

— Szybko. Film powstawał w miesiąc, rzadko trwało to dłużej. Również premiery teatralne przygotowywało się bardzo krótko. Czasem trzeba było nową rolę opanować w ciągu tygodnia. Dwa tygodnie, to już było długo.

**— Grała Pani z wieloma ówczesnymi znakomitościami sceny i ekranu. Jak Pani wspomina tych ludzi?**

— Bardzo serdecznie. Pomagali mi, uczyli, a czasem ganili i to publicznie.

**— Publicznie?**

— Grałam wtedy w Warszawie w sztuce „Kean", z Józefem Węgrzynem w roli tytułowej. Grałam jego garderobianego. Któregoś dnia wróciłam z Łodzi, położyłam się i zasnęłam. Gospodyni wprawdzie mnie budziła, ale wie Pani, jaki jest sen, kiedy człowiek jest młody. Przedstawienie już się zaczyna, a mnie nie ma. Nagle przez sen słyszę głos gospodyni: dyrektor Solski dzwoni. Zerwałam się, ubrałam i biegiem do teatru. Na szczęście miałam niedaleko. Garderobiana stała na schodach. Dopinałam kostium już na scenie. Kurtyna była podniesiona. Józef Węgrzyn stał na scenie i zaczął do mnie mówić: Co ty sobie, smarkulo, myślisz? My tu z publicznością czekamy na ciebie, a ty się spóźniasz. Ja w płacz. A kurtyna otwarta. Węgrzyn pocałował mnie w czoło i mówi: Przeproś publiczność, gramy dalej.. Jakież wtedy były owacje i długo jeszcze mówiło się o tym.

**— Powiedziała Pani, że lubi stare filmy. A współczesne?**

— Przyznam się pani w sekrecie, że nie chodzę do kina. Filmy oglądam czasem w telewizji.

**— Po wojnie mało grała Pani w filmie.**

— Grałam trochę na początku. U Wandy Jakubowskiej w „Pożegnaniu z diabłem", u Stanisława Różewicza w „Ziemi". Teraz mam rolę Ładziny u Jerzego Antczaka w „Nocach i dniach". Z zasady jednak odmawiam udziału w filmie, bo uważam, że nie docenia się łódzkich aktorów, proponuje się nam najwyżej dzień kręcenia. A to nie jest w porządku.

**— Jaką swoją rolę wspomina Pani najchętniej?**

— Z tych ostatnich w sztuce pt. „Baba-dziwo".

**— A czy Pani bardziej ceni swoje role filmowe, czy teatralne?**

— Zdecydowanie teatralne. A chyba najbardziej z „Dziewcząt w mundurkach" i potem z „Panny Maliczewskiej".

**— A filmowe?**

— Wszystkie je lubię i cieszy mnie to, że dostaję listy od młodych ludzi, którzy piszą, że oglądają stare filmy w telewizji, że czekają na nie i że im się podobają. Przed wojną też dostawałam listy od młodych, ale z zapytaniem: jak zostać artystką? Albo: czy pani nie mogłaby mi pomóc finansowo?

**— Czy jest taka rola, o której Pani marzyła i nigdy nie zagrała?**

— Nawet dwie. Całe życie marzyłam i marzę do tej pory o roli Balladyny, bo Alinę grałam, a także o tytułowej roli w „Damie Kameliowej". Zawsze wiedziałam, że tych ról nie zagram. Cieszę się natomiast na główną rolę w „Matce Courage". Niestety, nie widziałam kreacji Heleny Weigel, a ona była w niej przecież genialna. Zresztą, bo ja wiem. Może to i dobrze, że nie widziałam?

**— Proszę Pani, czy aktorstwo już Panią nie nuży?**

— Obchodziłam 40-lecie oficjalnej pracy scenicznej, bo przecież zaczęłam znacznie wcześniej. Marzę już czasem o emeryturze, bo zdrowie mam nadwerężone. Ale kiedy usiądę i robię na drutach lub szydełkuję...

**— Przepraszam, czy to jest Pani relaks?**

— O, tak. To mi daje wspaniałe odprężenie. Lubię też kucharzyć. Dla mnie królestwem w domu nie są moje dwa pokoje, ale kuchnia. I właśnie w chwilach odpoczynku, kiedy pomyślę sobie, że mogą nadejść takie wieczory, w których będę siedziała w domu, a tam, w teatrze, zapalą się światła nad sceną, to zaraz przechodzi mi myśl o emeryturze?

**Miałam zanotowanych jeszcze kilka pytań: o współczesnym teatrze, o młodych aktorach, o publiczności. W garderobianym głośniku rozległo się kolejne wezwanie: Pani Andrzejewska proszona jest na scenę! Nie zadałam już tych pytań. Może wrócę do nich przy następnej okazji, bo życie Jadwigi Andrzejewskiej, to przecież znaczny rozdział w historii polskiego filmu i teatru. Rozdział, który warto i poznać i przypomnieć.**

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

---

## Listy do Redakcji

### CI DZICY LUDZIE, Z PLEMIENIA BALUBA

Jesteśmy społeczeństwem wysoko cywilizowanym. Środek Polski (i prawie Europy) przebiega przez Piątek. Nic więc dziwnego, że gdy stykamy się z przedstawicielami obcych nam kulturowo plemion — od czasu do czasu odwiedzających nasz kraj — ich dzikie i częstokroć barbarzyńskie obyczaje budzą w nas zrozumiałe zainteresowanie. Zainteresowanie, zresztą, ze wszech miar pożyteczne i pouczające, u podłoża którego leży poczucie naszej narodowej godności czy dumy. Nie chwaląc się — dawno zrzuciliśmy skóry niedźwiedzie i wyszliśmy z jaskiń. A inni?

W Zakopanem. W sezonie zimowym (i nie tylko) z uroków polskich gór, Gubałówki, Kasprowego i Krupówek korzysta wielu przedstawicieli dzikich plemion. Cóż za przedziwny folklor, ile można zobaczyć, a ile się nauczyć, jakie wnioski wyciągnąć! I chociaż barbarzyńcy przyjeżdżają do nas najczęściej nowoczesnymi samochodami — my nie dajemy się zwieść tym zgoła fałszywym pozorom.

Na początku stycznia, zaraz po Nowym Roku na Krupówkach zobaczyliśmy taki oto obrazek: przed zaparkowaną — nawet prawidłowo — „Lancią" stał typowy przedstawiciel dzikiego plemienia i z dzikim wyrazem oczu rozrzucał w błoto ulicy (była odwilż) nowe, szeleszczące banknoty Narodowego Banku Polskiego. Dwudziestozłotówki przeważnie, czasem zdarzyła się i pięćdziesięciozłotówka. Dziki barbarzyńca z dalekiego kraju wzbudzał zrozumiałe oburzenie. Przyglądaliśmy się mu pełni bolesnego zdumienia: cóż za obyczaje; trzeba obiektywnie przyznać, że dzikie! Rozrzucać wokoło siebie pieniądze! Ale ten obcy nam ideologicznie i duchowo barbarzyńca, reprezentujący sobą tak niski poziom cywilizacyjny — nie zyskał żadnej moralnej (ani innej) dla siebie satysfakcji: rozrzucane przez niego banknoty Narodowego Banku Polskiego natychmiast zbiorowo podnosiliśmy, otrzepując z należytym szacunkiem z błota. Następnie, aby zapobiec dalszym wybrykom dzikiego człowieka, otoczyliśmy go zwartym kołem i usiłowaliśmy wyrwać z dłoni pozostałe banknoty. Nasza jednolita postawa, jaką zademonstrowaliśmy, z pewnością dała dzikiemu człowiekowi dużo do myślenia. Jeżeli on w ogóle myśleć potrafi.

Niedawno, w Łodzi, naturalne zainteresowanie wzbudził małolitrażowy samochód ze znakami rejestracyjnymi „GB". Przed Powszechną Kasą Oszczędności przy alei Kościuszki zgromadziliśmy się tłumnie, schodząc nawet na jezdnię i tarasując jedno pasmo ruchu. W skupieniu przyglądaliśmy się barbarzyńcom. Nie posiadali rogów na czole, jak należałoby się spodziewać, ani też rogów z tyłu głowy. Bardzo dziwne. Najdziwniejsze zaś było to, że i nosy mieli na pierwszy rzut oka na swoich miejscach. Ani wyżej, ani niżej.

Zawiedzeni, już zamierzaliśmy odejść, widocznie pomyłka, widocznie tym razem to nie są dzicy ludzie z plemienia Baluba, ale uwagę naszą przykuła kierownica! Tak, w niej kryło się sedno sprawy! Ta kierownica ich zdemaskowała!

Nawet zamorska Szwecja przystosowała się już dawno do ruchu lewostronnego, nadrabiając wielowiekowe zaniedbania cywilizacyjne podciągnęła się do poziomu środkowo-europejskiego. Tymczasem kierownica w samochodzie tych dzikich ludzi umieszczona była nie z lewej — jak u nas — lecz z p r a w e j strony.

Odkrywszy to, pełni wewnętrznego zadowolenia, zamierzaliśmy się rozejść i pozostawić dzikich ludzi ich własnemu losowi. Lecz oni, miast gestami (na migi) wyrazić swoje usatysfakcjonowanie tym chwilowym zainteresowaniem, jakie raczyliśmy im okazać, zaczęli na nas trąbić. Nie znają się na niczym, nie potrafią nawet rozróżnić typowych znaków drogowych: przecież w obrębie miasta obowiązuje zakaz używania klaksonu.

Wzruszyliśmy tylko z politowaniem ramionami: czego ostatecznie można wymagać od dzikich?

EWA OSTROWSKA

### POLEMIKI

Korzystając z zaproszenia, jakie znalazłem w rubryce „W pobliżu", chcę zabrać głos, aby zwrócić uwagę na przyczyny zanikania polemiki prasowej. Na początek rola samej prasy w tej kwestii. Czy zawsze pisma przywiązują do polemiki należytą wagę? Myślę, że tylko w tych wypadkach, jeśli polemizują z sobą felietoniści, piszący do danej gazety, lub osobistości co najmniej z autorytetem prof. Tadeusza Kotarbińskiego.

A jak traktowany jest pospolity „konsument" czasopisma? Przykładem niech będzie postawa tak wydawałoby się poważnego pisma, jakim jest „Polityka". Pod koniec 71 i na początku 72 roku tygodnik ten ogłosił konkurs p.t. „Robotnik 1971". I co? I nic. Bo pewno napisali sami robotnicy, to można ich zlekceważyć. Wyniki miały być ogłoszone w czerwcu 1972 roku. Do tej pory nie było na ten temat najmniejszej wzmianki. Czyżby nie napłynęły żadne prace? Czy może nie nadawały się do druku? Czy nie należy jakoś tego skwitować?

Kto, znając ten przypadek, będzie zadawał sobie trud pisania do prasy, nie mówiąc już o utracie zaufania do tygodnika? Uważam, że polemiki mogłyby przynieść społeczeństwu ogromny pożytek. Niewątpliwie wyszłoby na jaw wiele spraw, godzących w życie społeczne i gospodarcze. Pod warunkiem jednak, że głosy te znalazłyby należyty oddźwięk, gdzie trzeba. Ponadto powinny być wysłuchane i uwzględnione głosy tej części społeczeństwa, która własnymi rękami przysparza dóbr materialnych, bowiem o jej dobrych intencjach świadczą wyniki ostatnich kilkudziesięciu miesięcy. Niektóre sprawy inaczej widać od góry, inaczej od dołu, a jeszcze inaczej z boku.

Napiętnowani marnotrawcy na pewno przestaliby szastać społecznym groszem, a nieudolni kierownicy gospodarki musieliby odejść i brać kary, a nie nagrody.

Inną przyczyną braku polemiki, według mnie, jest znieczulica, powstała z powodu zbyt wielkiej ilości artykułów pisanych na ten sam temat i nie przynoszących żadnych rezultatów. Dla przykładu, remanenty w sklepach, marnotrawstwo materiałów na budowach, zabezpieczenie mienia, sposób podziału mieszkań spółdzielczych itd., itd. Czy coś się zmieniło? Nie.

JAN STANISŁAW KOŁODZIEJ

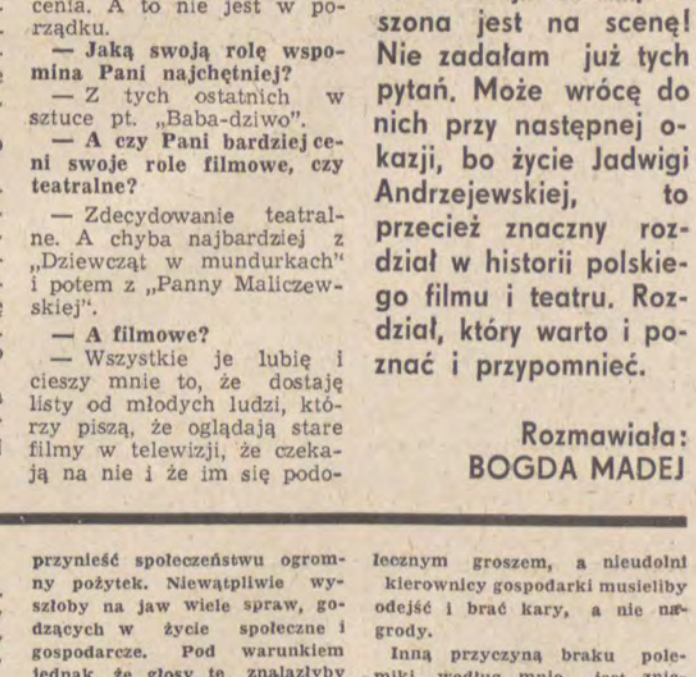

# AEG

# NA RYNKU WODNYM

(Dalszy ciąg ze str. 1)

☆ ✲ ☆

To ja dziękuję. Ten krótki list sprawił mi wielką radość. Odżyły wspomnienia młodości sprzed 30 lat, lat groźnych, ponurych i jednocześnie pięknych, niezapomnianych, związanych z Kłodzkiem. I nie tylko dla mnie, również dla setek łódzkich dziewcząt i chłopców, dziś ludzi dorosłych, którzy cząstkę swego życia i dużo uczuć zostawili w tamtym mieście i często tam wracają wspomnieniami.

☆ ✲ ☆

Jesienią 1941 roku w budynkach przędzalni Scheiblera i Grohmana przy Wodnym Rynku Niemcy postanowili urządzić fabrykę zbrojeniową. Zlecenie otrzymały dwie największe firmy AEG i Telefunken i trzeba przyznać, że sprawnie im to poszło. Ze wszystkich okupowanych krajów ściągnięto najlepsze i najwydajniejsze maszyny, tokarki, frezarki, obrabiarki, sprzęt i aparaturę elektryczną, zorganizowano wielkie biuro konstrukcyjne. Zadanie: produkcja aparatów radiowych nadawczo-odbiorczych dla okrętów podwodnych i lotnictwa, produkcja torped dla lotnictwa morskiego oraz produkcja zapalników do min, bomb i pocisków. Zatrudnienie — 2000 osób, w tym około 200 ściągniętych z Rzeszy naukowców, inżynierów i majstrów. Siły biurowe w większości volksdeutsche z Łodzi oraz ponad 1500 Polaków — robotników.

Łódź już od dwóch lat hitlerowcy zwali Litzmannstadt, Wodny Rynek — Wasserring. Do obozów wysłano polską inteligencję, Żydów zamknięto w getcie, a w mieście szalało gestapo i łódzcy volksdeutsche. Terror i represje wzmagały się z tygodnia na tydzień. Otrzymanie pracy w fabryce AEG stało się szansą dla pozostania w rodzinnym mieście i z tej szansy skorzystało około 1500 Polaków, w większości młodzież. Dyrekcję fabryki i wszystkie ważniejsze stanowiska obsadzili Niemcy z Rzeszy tzw. Reichsdeutsche. Legitymacja AEG ze stemplem „Pole" wiele osób uratowała od aresztowania, wysiedlenia czy nawet obozu.

Pierwsza produkcja ruszyła latem 1942 roku. Zaczęto od zapalników, które nosiły kryptonim „Z 66". Ponad 100 dziewcząt na dwie zmiany musiały nawijać na małe metalowe szpulki kilkadziesiąt metrów cienkiego mosiężnego drutu i zamknąć to w metalowym pojemniku o średnicy 1.5 cm, z którego wystawały dwa końce drutu. Praca była taśmowa, a każde stanowisko posiadało liczniki, gdyż długość drutu musiała mieć dokładność do jednego milimetra.

Kilka milimetrów mniej lub więcej sprawiało, że zapalnik już nie nadawał się do użytku. Prace Polek kontrolowali majstrowie Niemcy, ale było to zadanie nader trudne. Produkcja dzienna wynosiła 12 do 15 tys. sztuk, które tego samego dnia musiały być zapakowane w kartony po 500 sztuk i wysłane do Berlina. Faktem jest, że już po miesiącu do łódzkiego AEG wróciło z Berlina kilkadziesiąt kartonów z zapalnikami z napisem „Ausschluss" czyli niezdatne do użytku. Przyjechała też specjalna komisja z ministerstwa uzbrojenia Rzeszy zbadać przyczyny. Do łódzkiego gestapo ściągnięto kilka dziewcząt podejrzanych o celowe nieprzestrzeganie liczników i wskazówek majstrów. Na szczęście skończyło się tylko na groźbach, ale od tego czasu przy taśmie zatrudniono kilka łódzkich Niemek, które miały czuwać by robotnice Polki nie manipulowały przy licznikach. Na nic się to nie zdało. Do końca istnienia tej fabryki to jest do marca 1945 (już w Kłodzku) przeciętnie jedna czwarta „Z 66" odrzucana była przez działy kontroli jako „ausschluss".

☆ ✲ ☆

W końcu 1942 roku fabryka AEG — FWg (FWg — skrót od Fabrik Wartegau) miała już skompletowaną załogę. Byłem tu jako jeden z pierwszych Polaków, od wiosny 1942 r., Otrzymałem przydział do Bt-1 czyli do zakładu nr 1, a zakładów było cztery. Bt-1 — to dział montażu zapalników „Z 66" i torped (kryptonim R1), zakład Bt-2 montował radiostacje dla okrętów podwodnych (kryptonim „Rheintochter"), Bt-3 — montaż dla lotnictwa i Bt-4 — laboratorium zatrudniające wyłącznie Niemców z Rzeszy, przeważnie inżynierów fizyków i chemików, było specjalnie strzeżone. Szybko zorientowałem się jaką szansę daje mi zatrudnienie w tego rodzaju fabryce i legitymacja AEG.

☆ ✲ ☆

Przed wojną chodziłem do gimnazjum im. G. Narutowicza, a potem do liceum im. Wł. Reymonta. Z każdym miesiącem topniała liczba kolegów gimnazjalnych. Jedni uciekli z Łodzi, inni zagubili się w zawierusze wojennej. Kilkunastu Niemcy aresztowali i wysłali do Dachau. Reszta chwytała się jakiejkolwiek pracy by zostać w Łodzi, bądź też ukrywała się. Wkrótce i oni znaleźli się w AEG, podobnie zresztą jak wielu kolegów od „Zimowskiego", „Piłsudskiego" czy „Żeromskiego" i „kilkanaście koleżanek od „Sczanieckiej", „Skrzypkowskiej" czy „Waszczyńskiej". Nie trzeba dodawać, że tworzyliśmy tutaj silną solidarną grupę, którą szczególną opieką otaczali polscy robotnicy tokarze, frezerzy i narzędziowcy, których tu ściągnięto z różnych łódzkich fabryk. Już po kilku miesiącach cała polska załoga czuła się jak jedna wspólna rodzina. Łączyła nas nienawiść do wroga, uporczywa chęć pozostania w ukochanym mieście, a jednocześnie chęć nauki czegoś nowego co później po wyzwoleniu może okazać się przydatne. Szybko dość zorientowaliśmy się w profilu produkcji rzekomych zakładów budowy transformatorów i o wszystkich szczegółach było informowane dowództwo AK w Łodzi.

Latem 1943 roku w fabryce powstała komórka PPR. Towarzysze z okręgu zorientowali się jakie możliwości daje praca w tej fabryce i legitymacja ze zdjęciem honorowana w czasie łapanek przez policję i gestapo. Legitymacji tej podrobić nie było można. Wydawała ją centrala w Berlinie — jak na owe czasy szczyt techniki, bowiem karta i zdjęcie z obu stron na gorąco oblewane były przezroczystą masą plastyczną.

Kilkunastoosobowa grupa PPR (większość to robotnicy z Retkini i Widzewa) rozpoczęła żywą działalność. Coraz częściej na Wasserring 2 przyjeżdżało gestapo z ul. Anstadta. Coraz częściej w budzącym grozie budynku na Anstadta po kilka dni i nocy przesłuchiwano robotników Polaków z różnych oddziałów. Przyczyna — psucie się maszyn, niedokładności przy montażu zapalników i torped i wreszcie pożar, który wybuchł w dziale lakierni i który z trudem zdołano zlokalizować. Na tokarniach często toczono „fuchy" — i to nie tylko metalowe zapalniczki, czy pierścionki.

W pracy konspiracyjnej szczególnie wyróżnili się towarzysze Staniszewski i Stelmasiak oraz Stefan Sobieraj, który przez pewien czas prowadził komórkę PPR oraz zorganizował grupę młodzieżową „Orląt". Grupa ta oprócz niszczenia części do aparatów elektrycznych zniszczyła jedną maszynę szlifierkę precyzyjną o wadze 9 ton. W czasie ewakuacji fabryki spuszczano ją na stalowych linach z 4 piętra, chłopcy podpiłowali uprzednio liny i z trzaskiem runęła ona z 3 piętra. W nocy, w czasie pełnienia dyżuru przeciwlotniczego Staniszewski, Stelmasiak, Sobieraj i Birecki rozpruli ponad 1000 worków cementu. Współpraca komórki PPR, „Orląt" z Gwardią Ludową trwała aż do września 1944 roku tj. do czasu ewakuacji fabryki do Kłodzka.

Informacje z działań na frontach wschodnim i zachodnim mieliśmy świetną. W zakładzie Bt-2 w dziale kontroli radiostacji dla okrętów podwodnych pracowały nasze koleżanki. Było tu sześć dźwiękoszczelnych kabin i zadaniem sprawdzającej było stwierdzenie czy działają wszystkie zakresy fal. Mieliśmy więc codzienny nasłuch z Londynu, Moskwy, a szał radości ogarnął nas już w Kłodzku kiedy w grudniu 1944 roku Halina przybiegła z wiadomością, że złapała Lublin!

☆ ✲ ☆

Niezapomniany był dzień 4 lutego 1943 roku. Z głośników zainstalowanych we wszystkich oddziałach padł rozkaz by o godz. 14 na 3 minuty przerwać pracę — podany zostanie ważny komunikat OKW (Oberkommando der Wermacht). Spiker ponurym głosem odczytał komunikat OKW o zakończeniu bitwy pod Stalingradem, o poddaniu się VI armii i wzięciu do niewoli feldmarszałka Paulusa, a potem żałobna muzyka Wagnera i krótkie histeryczne przemówienie Goebbelsa, że führer ogłosił totalną wojnę, że Wielka Rzesza jest niepokonana itp. brednie. Na salach montażowych panowała śmiertelna cisza, a gdy wyłączono głośniki ciszę przerwał szloch. Niemcy płakali, płakali, po raz pierwszy. Płakały i nasze dziewczęta i ja miałem łzy w oczach. To były nasze pierwsze łzy radości od wielu wielu lat. Dziwna to była i nigdy niezapomniana chwila ten wspólny płacz zwycięzców i pokonanych.

Późną jesienią 1943 roku zawyły syreny w całym mieście. Alarm przeciwlotniczy! Nikt na to nie zwracał już uwagi. Alarmów było kilka, nie wiadomo czy prawdziwe czy ćwiczebne. Tym razem „werkschutze" uwijali się po fabryce jak oparzeni.

Szybko do schronów, prędko, prędko! — Słychać było nawoływania po niemiecku. Nie upłynęło 15 minut, a na pięknym błękitnym niebie, hen wysoko ukazały się setki maleńkich błyszczących w słońcu punkcików. Amerykańskie bombowce otoczone rojem mniejszych jeszcze, ale zwinnych i szybkich punkcików — eskadra myśliwców. Leciały nad samym miastem spokojnie, majestatycznie. Nie trzeba dodawać, że większość z nas wyległa na fabryczne podwórze i w milczeniu obserwowała tę manifestację alianckiej siły. Milczenie przerwał ryk znienawidzonego przez nas kierownika straży przemysłowej, tzw. „werkschutzów", Krybusa.

— „Pierońskie Polaki, nie blikujcie tam do góra, oni tu do was nie przyńdom na patachonach!".

O co mu chodziło? Zrozumiałem, że blikowanie, od niemieckiego słowa „blicken" — patrzenie, ale co za czort te patachony? Po nalocie zapytałem Krybusa po niemiecku:

— Panie werkschutzleiter, o czym pan myślał mówiąc o tych patachonach w górze?

Spojrzał na mnie spode łba i odpowiedział po „polsku":

— Baran jesteś pieronie nie Polak, jak nie wisz, że patachon to „Fallschirm". W porządku, fallschirm to po niemiecku spadochron i chciał nas ostrzec, abyśmy nie liczyli na desant spadochronowy.

**Miałem z Krybusem gorsze spotkanie, które mogło się dla mnie skończyć tragicznie. W fabryce zarządzono ostre pogotowie przeciwlotnicze i przeciwpożarowe. Raz w tygodniu wypadał 24-godzinny dyżur. Nie było to uciążliwe bo brygada przeciwpożarowa składała się z 6—8 osób dobierali się koledzy i całą noc rżnęło się w karty, jedni w brydża inni w tysiąca. Nikt nie kładł się spać, mimo, że były prycze i koce, bowiem prycze roiły się od pluskiew. W czasie jednego z dyżurów nasz kolega Jasio Pacuszka nie dotrwał do rana, położył się i zasnął. Spał tylko dwie godziny, obudził się cały w bąblach kinąc na czym świat stoi. Nabijaliśmy się z Jasia „optymisty", który chciał spać, a mnie jak to się mówi „odbiła szajba". W schronie miałem karton i tusz i gdy o godz. 7 rano wchodziła do fabryki pierwsza zmiana, kto żyw zatrzymywał się przed klepsydrą przyklejoną do muru**

**Dzisiejszej nocy**
**zmarł śmiercią tragiczną**
**zagryziony przez pluskwy**
**w „Luftschutzraum"**

**Ś. † P.**

**JAN PACUSZKA**

**pracownik BT-1**

**Cześć Jego pamięci**

**Mniej pogryzieni koledzy**

**Krybus, widząc na dziedzińcu zbiegowisko i do tego co chwilę wybuchające śmiechem, wybiegł z wartowni i zerwał nieszczęsną klepsydrę. Już za pół godziny siedziałem pod strażą na odwachu a Krybus rozpoczął śledztwo, wznosząc okrzyki o sabotażu, wrogiej propagandzie i że zdechnę w gestapo, ale nie od pluskiew. Widząc, że nie przelewki, zacząłem prosić, by przed oddaniem mnie do gestapo pan Krybus raczył zawiadomić o tym także mojego majstra z BT-1 pana Reinholda Bucholza, który na dziś zlecił mi bardzo ważne produkcyjne zadanie.**

**Udało się. Długo trwała rozmowa Krybusa z Bucholzem, słyszałem przez drzwi jak się kłócili i po dwóch godzinach po podpisaniu protokółu ze wstępnego przesłuchania odesłano mnie na oddział BT-1.**

**Tu miałem też długą rozmowę z majstrem. Okazało się, że był on świetnie zorientowany jeśli chodzi o Polaków jemu podległych. Wiedział, kto chodził do gimnazjum, z jakiego pochodzi środowiska. Mówił spokojnie i rzeczowo. Poczułem sympatię do tego człowieka, która z biegiem czasu zamieniła się w przyjaźń mimo dużej różnicy wieku. Reinhold Bucholz lat około 55 był brygadzistą w fabryce transformatorów AEG w Berlinie skąd wysłano go do Łodzi i awansowano na majstra. Po ewakuacji fabryki do Kłodzka okazał naszej grupie nieocenioną pomoc. Tam też poznałem jego życiorys.**

**Rodowity berlińczyk, tokarz z zawodu, od młodych lat należał do KPD (Komunistycznej Partii Niemiec). Mieszkał w najbardziej robotniczej dzielnicy Berlina w Lichtenberg, gdzie nawet po 1933 r. nazíści nie czuli się zbyt pewnie. Przeżył zawieruchę wojenną. Jako jeden z pierwszych stanął do odbudowy nowych demokratycznych Niemiec, krótko pracował w tej samej co przed wojną fabryce transformatorów, ale już będącej własnością nie koncernu AEG lecz robotników i noszącej nazwę VEB — Transformatorenfabrik Berlin — Oberschöneweide. Aktywny działacz SED (Niemieckiej Partii Jedności) zostaje skierowany do pracy partyjnej i gdy w 1955 roku odwiedziłem go w Berlinie był sekretarzem dzielnicy Oberschöneweide. Odwiedzałem go jeszcze w Berlinie dwukrotnie. Żywo interesował się naszymi losami, przesyłał pozdrowienia, ale uskarżał się, że traci siły, zdrowie nie dopisuje. Zmarł w 1962 roku.**

**Niestety, tego pokroju ludzi co Bucholz nie było w AEG zbyt wielu.**

☆ ✲ ☆

Latem 1944 roku zapadła decyzja o przeniesieniu fabryki do Rzeszy w bezpieczne miejsce. Do tego celu wybrano miasto leżące w kotlinie otoczone zewsząd górami i noszące niemiecką nazwę Glatz. Odszukałem w domu atlas geograficzny Romera i wspólnie z kolegami zaczęliśmy szukać na mapie owego Glatzu. Jest! 80 km na południe od Wrocławia i polska nazwa Kłodzko. Przydał się i podręcznik historii. Silna twierdza, miasto, w którym urodził się św. Wojciech, tu zmierzyły się wojska Bolesława Chrobrego z wojskami czeskimi, we władaniu Królestwa Czeskiego do XVI wieku, w austriackim — do 1772 i w tym roku podbite przez Fryderyka Wielkiego i włączone do Prus.

Wybuch powstania warszawskiego w dniu 1 sierpnia wywołał istną panikę wśród łódzkich Niemców. Dzień i noc demontowano maszyny i pakowano w skrzynie. Ładowano je bezpośrednio do wagonów podstawionych na bytą „scheiblerowską" bocznicę. Stąd też, a nie ze stacji odjeżdżały pociągi z robotnikami. Wielu mimo nakazu wyjazdu, nie stawiło się w fabryce, po prostu uciekli i już do dnia wyzwolenia Łodzi musieli się ukrywać. Nie było to proste, bowiem policja bardzo skrupulatnie szukała uciekinierów, a nie rzadkie były wypadki represji w stosunku do najbliższych, z którymi mieszkał poszukiwany. Większości z nas wyjazd był na rękę. Po wybuchu powstania, w Łodzi szalało gestapo i rozpoczęły się masowe aresztowania młodych Polaków. Wielu nie spało w tym czasie w domu, lecz w fabryce przy pakowaniu skrzyń. Wśród tysięcy starannie ewidencjonowanych skrzyń udało nam się przemycić jedną własną... załadowaną 100 kilogramami ziemniaków.

☆ ✲ ☆

Do dziś wdzięczny jestem za to memu przyjacielowi, obecnemu ekonomiście doc. dr. Hab. Janowi Kortanowi z UŁ, który wówczas „zadekował się" jako robotnik w prywatnej hurtowni ziemniaków i zaopatrzył nas na lewo w metr ziemniaków. Z ich załadowaniem nie było problemu. Napis na skrzyni brzmiał: „Aparatura laboratoryjna — ostrożnie, nie przetaczać"! Z 50 skrzyń laboratorium tylko 6 zostało w czasie transportu nie uszkodzonych, między nimi nasza z ziemniakami.

Ewakuacją fabryki kierowała specjalna komisja ministerstwa uzbrojenia Rzeszy. Nic dziwnego, bowiem od kilku miesięcy AEG — FWg w Łodzi rozpoczęło produkcję części sterowych i całą obudowę „cudownej broni" Hitlera V-1.

(d.c.n.)

**ADAM BIEŃKOWSKI**

*Rynek Wodny (obecnie Plac Zwycięstwa). Budynek, w którym w czasie wojny mieściły się zakłady AEG. Obok reprodukcja Ausweisu autora artykułu.*

## KSIĘGA ZWIERZĄT

Jest to jedna z najbardziej fascynujących książek, jakie zdarzyło mi się przeczytać. Napisał ją zresztą fascynujący człowiek — Jean-Pierre Hallet. Belg z pochodzenia, znaczną część swego życia spędził w Afryce i to wśród plemion Masajów, Watusi, a także Pigmejów Bambuti.

Jest także prawdziwym przyjacielem zwierząt, dla których organizuje własny rezerwat. W swej książce przedstawia kilkanaście najbardziej interesujących zwierząt Afryki. I to w sposób, który obala szereg, powszechnie pokutujących mitów. Przede wszystkim o krwiożerczości „dzikich bestii". Okazuje się, że w ciągu kilku lat bezpośredniej styczności ze zwierzętami, żadne z nich nie wyrządziło mu krzywdy, choć były wśród nich i lew, i nosorożec, i bawół, i słonie.

Autor formułuje wiele stwierdzeń, które dla wielu ludzi mogą być kamieniem obrazy. A więc Hallet uważa, że faunę każdej okolicy można traktować, jako społeczeństwo, rozwijające się równolegle do naszego i jeśli jest nawet mniej rozwinięte, to winno się odnosić do niego z zainteresowaniem i szacunkiem, a nie z protekcjonalną łaskawością.

Ba, stawia wręcz następującą tezę: „Różnice między człowiekiem a zwierzęciem są kwestią ilości a nie jakości" i gotów jest to na podstawie swojej praktyki udowodnić. Zresztą sama „Księga zwierząt" jest poniekąd tego dowodem. Autor postawił sobie za zadanie nakreślić szereg, utrzymanych w jednym stylu sylwetek zwierząt, które traktowane, jako całość, miały stworzyć złożony obraz zwierzęcego świata Afryki Równikowej. I zadanie to wypełnił znakomicie, kreśląc wspaniałe portrety swych bohaterów. Książka wydana przez „Iskry" w serii „Naokoło świata" na pewno zniknie błyskawicznie z półek księgarskich.

Jean-Pierre Hallet — Księga zwierząt. Wyd. „Iskry".

## POD UROKIEM ITALII

Podróż do Włoch od wieków stanowi przedmiot marzeń artystów i pisarzy. Piękna Italia, skarbiec świata antycznego i kolebka Renesansu, pozostaje zawsze źródłem twórczego natchnienia. Odwiedzali ją najwięksi pisarze wszystkich krajów i czasów.

Nie brak wśród nich i wielu Polaków. Bardzo znamienna jest tu wypowiedź Henryka Sienkiewicza: „Rzym jest miastem polskim, w którym jest trochę Włochów i Anglików". Nie będzie to stwierdzenie tak bardzo paradoksalne, jeśli się zważy, że niemal wszyscy pisarze polscy ostatnich dziesięcioleci XIX i pierwszych XX wieku przebywali tam przez dłuższy lub krótszy okres czasu, względnie odbywali wielokrotne podróże. Ta tradycja utrzymuje się zresztą do dziś.

Jednak stan badań, dotyczących związków naszych twórców z Włochami, niestety nie przedstawia się imponująco. Co gorzej, prawie wcale nie ma opracowań z tego zakresu o autorze, który był najwybitniejszym polskim pisarzem italofilem, a mianowicie Stefanie Żeromskim.

Na dobrą sprawę, można tu mówić o Henryku Baryczu i jego studium „Stefan Żeromski a Włochy", z roku 1951. Dlatego też z uznaniem należy powitać książkę Andrzeja Zielińskiego „Pod urokiem Italii", będącą próbą kontynuacji i rozwinięcia wątków poruszonych w wyżej wymienionej rozprawie.

Autor omawia podróże włoskie Żeromskiego, częste, choć krótkotrwałe, bo w sumie spędził w różnych miastach tego kraju około siedemnastu miesięcy. Tym niemniej odbija się to w utworach pisarza w sposób bardzo widoczny. Andrzej Zieliński udowadnia także wpływy pisarzy włoskich na Żeromskiego, akcentując szczególnie motywy zaczerpnięte z „Boskiej komedii" Dantego.

Całość napisana lekko i przystępnie świadczy o tym, że i autor pracy znajduje się pod urokiem Italii.

A. N.

Andrzej Zieliński — „Pod urokiem Italii", PWN 1973.

## SPADKOBIERCY COURTHS-MAHLEROWEJ

Komuś, kto historii Europy zaczął uczyć się stosunkowo późno, ta książka pomoże zrozumieć złożoną problematykę narodzin niemieckiego nacjonalizmu. Michał Misiorny dokonał próby analizy zjawisk mających wpływ na narodziny, na umacnianie się, i mimo doświadczeń historycznych, na dalszą pielęgnację przekonania o „niemieckim posłannictwie w świecie". My możemy najwięcej powiedzieć na temat owego romantycznego „posłannictwa", z którego wyrosły przecież takie pojęcia jak: „übermensche, przestrzeń życiowa dla wybranego narodu itp.

Ale Misiorny nie poprzestaje na samej historyczności zjawiska. Opierając się na bogatej literaturze historycznej, jak i na literaturze pięknej, chce pokazać całą skomplikowaną drogę, jaką przeszła literatura zachodnioniemiecka, pragnie także odpowiedzieć na pytanie: czym nowy Niemiec różni się od swoich antenatów spod Verdun czy spod Stalingradu. Przeglądając twórczość większości współczesnych pisarzy NRF budzą się w czytającym niewesołe refleksje: od epoki romantyzmu niemieckiego minęło sto pięćdziesiąt lat z okładem, świat w tym czasie przebył ogromną drogę, tylko Niemcy pozostali na dawnych pozycjach, z których w każdej chwili są gotowi pójść i nawracać głupie, prymitywne, barbarzyńskie narody, które nigdy nie były narodami kulturowymi pierwszej klasy, za to są zatrute jadem komunizmu.

Książka Michała Misiornego jest lekturą niezmiernie ciekawą i zarazem pouczającą. Okazuje się, że ciągle jeszcze zbyt mało wiemy o najnowszej historii powszechnej swojego kontynentu.

E. I.

Michał Misiorny: Spadkobiercy Courths-Mahlerowej. Książka i Wiedza. 1972 r.

## WSPOMNIENIA DYPLOMATY

Jan Drohojowski stanowi osobny i specjalny rozdział polskiej dyplomacji. Nic więc dziwnego, że na jego książkę miłośnicy wspomnień polują po księgarniach. I choć autor zastrzega się, że nie posiada daru dobierania pięknych słów — czyta się te wspomnienia z wypiekami na twarzy. Może istotnie Drohojowski nie posiada daru dobierania pięknych słów, ale na pewno dar dobierania słów celnych.

Dyplomatyczne przygody, anegdotki i kulisy opisane są z niezwykłą werwą, piękną, wyborną polszczyzną, jaką niewielu już dziś włada. No i oczywiście ten ogromny ładunek informacji ogromna wiedza... Był inny dyplomata parający się piórem — nazywał się Janusz Makarczyk. Piórem władał efektowniej, ale też miał o wiele mniej do powiedzenia niż Drohojowski.

Jan Drohojowski tkwił w sprawach i środowiskach, które dziś stanowią przedmiot badań historyków. Jego relacje — jakkolwiek nie pozbawione piętna subiektywizmu — są relacjami naocznego świadka, są dokumentem historii. I może właśnie fakt, że tak wielu ludzi interesuje się najnowszą historią sprawia, że „Wspomnienia dyplomatyczne" znikają z półek księgarń. Obok pamiętników takich dyplomatów, jak Stanisław Zabiełło i Jan Gawroński — wspomnienia Jana Drohojowskiego są jednym z cenniejszych zapisów dokumentalnych epoki.

J. WIL.

Jan Drohojowski „Wspomnienia dyplomatyczne", Wyd. Literackie 1972.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

# PIWO Z KORZENIAMI

blondynka w niebieskim fartuchu.

— **To ja, proszę pani, nie zdążę, a mam ważną misję...**

— **Jest jeszcze dwadzieścia minut do odjazdu! Pan zaczeka, pójdę rozmienić...**

— **Dwa tygodnie po Dniu Kobiet, a one wciąż się wygłupiają** — mruknął stojący za botanikiem gość w brązowej budrysówce.

Podczas tego epizodu botanik rumienił się jak Jagusia za pierwszym razem. Za nim rosła wnerwiona kolejka.

W wiadrze z gorącą wodą nabierały ciepła butelki jasnego; sprzedawczyni, z „Warsu" wycierała je brudną ścierką i wypychała za szybę kiosku. Trzech ludzi w zachlapanych drelichach utworzyło własną kolejkę, odgradzając od okienka pozostałych konsumentów. Zaszemrali dwaj delegacyjni panowie, obaj w czarnych kapeluszach i futrzanych kołnierzach.

— Zostawia toto robotę i jeszcze pcha się bez kolejki, cholera! Buduj, bracie, z takimi socjalizm — warknął ten z brodawką na skroni.

Drugi, o szroniastych baczkach, szturchnął go ostrzegawczo, ale za późno, bo jeden z robotników odwrócił się, splunął i skontrował tego z brodawką:

— Czepiaj się, łachmycie, krowiego cycka!

— Cham!

— Sam se zajrzyj do metryki i rozszyfruj ten herb ze skrzyżowania kosy z widłami!

— A nas pan nie tykaj — strzelił drugi z robotników — bo nam piwko nie leci za delegacyjny grosz! A w ogóle, to możem wam tego dworca i tunelu nawet na rok osiemdziesiąty nie skończyć, jak będą przeszkody!

— Widzisz — stękał ten szroniasty, dławiąc się w pośpiechu piwem — że nie warto zaczynać. Trzeba ludziom dać wypić w pierwszeństwie, bo dworca nie skończą. A o fachowców dziś trudno...

Poczekalnia pustoszała, sznurki ludzi ciągnęły peronem, znikając w drzwiach wagnów. Ostatni, ale liczni pasażerowie, zbiegali do podziemia, aby pozbawieni balastu, mogli wygodnie zasiąść w przedziałach. Babka klozetowa ziewała i patrzyła na nich z wrogością. Nie bez powodu, albowiem jeszcze do niedawna, kiedy nie otwarto pisuarów, przez długie tygodnie ściągała od klientów po złotówce za sikanie w kabinie. Teraz wszystko się ucięło, przeklinała przeto swój prawdziwie z..... interes.

W megafonie coś się zmieniło. Spłynął z niego czysty, głęboki alt:

— Pociąg do Warszawy Wschodniej przez Koluszki odjedzie z toru trzeciego przy peronie drugim. Planowany odjazd pociągu — godzina szós... bliidr... Proszę wsiadać, drzwi zamkną konduktorzy. Życzymy państwu przyjemnej i szczęśliwej podróży. Książka życzeń i zażaleń znajduje się w wagonie nr 3215, u kierownika pociągu.

Podążyłem za panami w czarnych kapeluszach, którzy, jak przystało na gości delegacyjnych, władowali się do II klasy. W przedziale dla palących było wolnych kilka miejsc. Usiadłem obok smukłej brunetki w ciemnych okularach, tamci rozłożyli się naprzeciwko. Z drugiej strony przedziału, pod oknem, siedział botanik, wertując skrupulatnie notatki.

Grzejniki grały na cały regulator, łagodna woń wód kwiatowych i ostry zapach potu przewalały się w dyfuzji nad delegacyjnymi przedziałami. Wraz ze wzrostem temperatury siedząca obok brunetka poczęła wzdychać, wiercić się i prężyć lubieżnie. Osłonięty szczelnie szeroką płachtą „Głosu Robotniczego", aby ukryć przed współpasażerami rozbiegane, podejrzliwe reporterskie oczy, nie omieszkiwałem zerkać złodziejsko na jadący w górę skraj kraciastej mini, spod którego wyłaniały się różowe żabki ze srebrnymi spinaczami, ściągające fałdki nylonowych pończoch. Miałem się jednak na baczności, bo Andrzej Makowiecki powiedział mi na drogę, że na takich ładnych z pociągu można się machnąć jak Wyspiańszczak, a Makowiecki zna życie i literaturę.

Pociąg ruszył łagodnie, rozhuśtywał się; za oknami przemykały domy, potem popłynęła równina, upstrzona płatami niestajałego śniegu.

Panowie z przeciwka rozluźnili krawaty i zza otoczki papierosowego dymu patrzyli w przymrużeniu na wysoko odsłonięte uda brunetki.

— **Boże, jak gorąco** — szepnęła brunetka.

— **Łagodną mamy latoś zimę** — westchnął pan z brodawką na skroni.

— **Tak, a normy ogrzewcze należy wykonać** — dodał ten ze szroniastymi baczkami — **ponieważ w przyszłym roku mogą obciąć limit.**

— **Wszelako miło jest w w cieple** — powiedział pierwszy patrząc na brunetkę.

— **Panu, że tak powiem** — zaszczebiotała — **jest chyba szalenie trudno golić się na skroni.**

— **A, ta brodawka** — żachął się — **nie, proszę pani, mam angielską maszynkę elektryczną. Przysłał mi ją szwagier, on jest w Londynie na placówce...**

— **Aha** — ożywiła się brunetka. — **Malina Salska jestem...**

Panowie poderwali się: — ...Ski, ...Ski — bąkali z radością.

— **Proszę państwa** — w drzwiach stanął kierownik pociągu — **pragnę zakomunikować, że będziemy musieli narazić państwa na drobną, ale zgodną z przepisami fatygę: proszę przygotować się do kontroli.**

— **Panie** — krzyknął mu zza pleców zapity facet w kożuchu i uszatce — **nie dałoby się stanąć w Lipcach?**

— **Niestety, jest to pociąg pośpieszny, nie mogę więc spełnić pańskiej prośby.**

— **Pan tak wcześnie z Łodzi do Lipiec** — zagadnęła uprzejmie kobieta w różowym kapeluszu.

— A tak, bo byłem w delegacji u tych filmowców na Łąkowej. Odesłali mnie do Warszawy, na Puławską do „Zespołów". Widzi pan, zostawili u nas kupę dekoracji, wiatr był, poprzewracał, konie się strachają, dzieciaki niszczą, a to przecież zabytki kultury. Chciałem skoczyć do sołtysa, po instrukcje, jak gadać w tej Warszawie, ale pociąg nie stanie... Same zmartwienia przez tych „Chłopów". A temu Rybkowskiemu to ludzie nogi powyrywają. Barachło zrobił, nie film! Ta jego Jagna chodzi, jak by się bała, że w kurze gówno wdepnie i ani be, ani me... U nas w „Weselu Boryny" jest jedna dobra, ale jej nie wziął...

Przewinęła się kontrola, a potem przez wagon przebiegło trzech kelnerów. Czwarty zatrzymał się.

— **Co państwo sobie życzą: herbata, kawa, full, kanapki, bigos, gorące parówki?**

Zaczął chodzić po przedziałach i zbierał zamówienia.

Pociąg stanął w Koluszkach. Wsiadł łysy emeryt z Żyrardowa i zaczął dzwonić butelkami pełnego jasnego z warszawskiego browaru. Pośpieszył się, celowo łapał pociąg w Koluszkach, żeby wyprzedzić kelnerów, ale zamówienia już poszły do wagonu restauracyjnego. Straszyła też cena u starego: butelczyna za osiem złotych (państwowa cena 3 zł) a z zastawem dycha. W „Warsie' full po siedem złotych. Piajta dla emeryta...

Koło Lipiec zapachniało w przedziałach parzoną kawą, gorącą kiełbasą; bulgotał full i dzwoniły na spodkach łyżeczki.

— **Pani zawsze w ciemnych okularach?** — szepnął pan z brodawką.

— Zawsze — odparła brunetka. — U nas wszystkie w okularach. Bo nasza dyrektor jest zgaga, nie pozwala robić na drutach, pędzi od oglądania ciuchów, więc w takich okularach można spojrzeć na nią z pogardą, z mściwością i kpiną. Oczu nie widać...

— Aha, a my, proszę pani, do Warszawy z ramienia klucza PGR. Orki idą, brakuje śrub do kultywatorów, z rozdzielnikiem krucho, więc dyrektor dał na cele reprezentacyjne, żeby załatwić gdzie trzeba...

— Jak interes dobrze pójdzie — mruknął szroniasty — to dziś wieczór...

— Och — pisnęła brunetka — jeśli panowie będą grzeczni... Ale wpierw muszę załatwić sprawę w resorcie. To tajemnica, bomba, proszę panów. Nasz technolog w cukrowni opracował proces produkcji gumy do żucia. Chcemy wykorzystać w tym celu melasę, potrzebne tylko dostawy gumy arabskiej, a z tym jest kłopot...

Nagle nad nami pojawiła się czerwona z emocji twarz botanika.

— Ależ proszę pani — wyszeptał — ja powinienem nawiązać z panią kontakt...

— Dobra, dobra, byle nie wieczorem — mruknął niegrzecznie szroniasty.

— Ja nie w tym sensie — bąkał botanik — ale pani mówiła o melasie. Pracuję nad tym w naszej stacji w Kłomnicach. Otóż na ekstrakcie z melasy można wyhodować pogwizdka płaskiego, który z kolei będzie służyć jako pożywka przy hodowli asparagusu. Ale nie zwykłego, nie, lecz kwitnącego wielobarwnie. Asparagus jako roślina ozdobna jest niezbędny na chrzcinach, stypach, weselach, ileż więc by przyniósł radości, taki wielobarwnie kwitnący...

— **Pierdoły pan ględzisz** — zarechotał gospodarz z Lipiec. — **Z melasy to się robi, ale bimber...**

— Pociąg zahamował gwałtownie.

— **No tak, w Płyćwi nie stał, to postoi w Skierniewicach** — zauważył ktoś w końcu wagonu.

— W drzwiach pojawił się kierownik pociągu.

— **Proszę państwa! Proszę się nie niepokoić, opóźnienia nie będzie. Rozumiecie państwo, musieliśmy wysadzić jednego Murzyna z Ugandy, hodowcę bananów. On na konsultację do prof. Pieniążka...**

Wyszedłem za kierownikiem, aby podzielić się wrażeniami z podróży.

— No cóż, telewizja już się zajmowała naszymi innowacjami, ale mogę panu powiedzieć: my myślimy przyszłościowo. Pragniemy drogą eksperymentu przyzwyczajać pasażerów do komfortu, gdyż na tej linii, w związku z budową międzynarodowego lotniska w okolicach Skierniewic, w przyszłości będzie przejeżdżać około 30 tys. pasażerów na dobę, w tym wielu gości zagranicznych. A zresztą dogodne warunki jazdy przydają się także na co dzień: w ten sposób niewelujemy niejako odległość dzielącą Łódź od Warszawy. Przecież podróżują w naszych wagonach ludzie z terenu, którzy wsiadając na Fabrycznym, od razu stykają się z Warszawą, dzięki czemu unikają gwałtownego styku ze stołecznym blichtrem na Dworcu Centralnym...

Pociąg zwalniał, wjeżdżał na Centralny. Panowie ubierali pośpiesznie pannę Malinę. Botanik drzemał. Ktoś go trącił.

— Jeszcze nie Warszawa — mruknął spoglądając na zegarek.

— Ależ Warszawa, jesteśmy bez opóźnienia...

— Ja chciałabym na Marchlewskiego — szczebiotała panna Malina.

Podążyłem za nimi po drewnianych schodach. Podziwiali z góry znajomy widok. Wokół Centralnego, pośród wielkich rozkopów wyły wesoło świdry pneumatyczne, kilku robotników popychało zagrzebany spychacz.

— Tu też kopią — zaśmiał się szroniasty.

— Ale dopiero zaczęli — pisnęła Malina.

— U nas wcześniej skończą — powiedział pan z brodawką.

— Tak, bo zobacz, co się dzieje w poczekalni...

Przed bufetem stało pięciu robotników w zachlapanych drelichach. Pili piwo. No tak, pomyślałem, ale tutaj podają piwo grzane, z cukrem i korzeniami...

RYSZARD BINKOWSKI

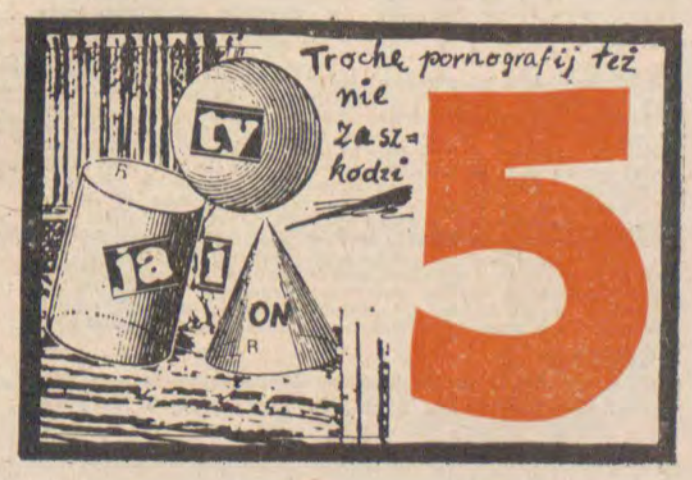

# HAMLETA... „świat kryształowych pojęć“

(Dalszy ciąg ze str. 1)

niebytu. Przypomina o tym od samego początku spektaklu — łączący poszczególne obrazy ze sobą — elegijny głos fletu, potem, okaże się, piszczałki grabarza.

W tej dekoracji Zofii Wierchowicz przejrzyście wyrażającej zamysł reżyserski „Hamleta“ rozgrywa się spektakl niezwykle dynamiczny, zwarty, ostro prowadzony: na początku — szybkie wejście aktorów ustawiających się na sekundę wzdłuż rampy, co akcentuje teatr antyiluzyjny, potem — gwałtowne ściemnienie, łomot pięściami tychże aktorów w sinorudą blachę, jaką obite są słupościany, łomot dający efekty grzmotów; nikłe świetlne pręgi błyskawic, pełne przerażenia okrzyki strażników (zapewne znowu zobaczyli ducha ojca Hamleta) i...

I od razu scena w sali tronowej. Jan Tesarz w roli Klaudiusza; postać mocna, rosła, władcza; majestat królewski wydobyty bez cienia patosu; w gestach powściągliwa pewność siebie, w oczach — napięta czujność. Grzeczność podziękowania dla dworzan za uznanie jego małżeństwa z Gertrudą — raczej zdawkowo-ceremonialna; nibyczułość dla Hamleta i prośba o pozostanie na dworze królewskim — sztucznie serdeczna. Dobra, bardzo dobra rola Jana Tesarza, który gra Klaudiusza na ściszeniach, jest silny, spokojny, jak silni i spokojni potrafią być ludzie zdecydowani nawet na zbrodnie dla dopięcia swoich zamiarów; jest też dyskretnie przebiegły, opanowany w mimice, w gestach, czujny; zręczny gracz. Będzie dobrym partnerem dla żywiołowego Hamleta, Marka Bargiełowskiego, postaci zbudowanej na zasadzie zupełnego kontrastu.

Już przy końcu tej pierwszej sceny następuje sygnał, jaki będzie ten Hamlet: wychodzi z ukrycia pod schodami jakiś jakby skurczony, spowolniały, jakby wciąż jeszcze tylko porażony podejrzanie szybką śmiercią ojca, gwałtownie śpiesznym ślubem matki ze stryjem i — pod wpływem słów Gertrudy i Klaudiusza, tłumaczących mu, że śmierć ojca, w ogóle śmierć jest czymś zwyczajnym, ludzkim, z czym trzeba się pogodzić — rzuca się na ziemię, kryjąc twarz w ramionach. I zaraz zaczyna się ten gorący, o gwałtownych rytmach spektakl, w którym jednak przy całej dynamicznej ruchliwości aktora, grającego Hamleta młodego, sprężystego, zwinnego, o szybkich ruchach, o nerwowej, pełnej wyrazu twarzy, wydobyte zostały owe w napięciu psychicznym dokonywane analizy własnych zachowań, wskazujące na wytężoną pracę umysłu tak właściwą Hamletowi racjonaliście, jakim jest ten pierwszy w dramacie europejskim bohater-intelektualista.

Motywy działania Hamleta w tym spektaklu są świadome. Z tego utworu Szekspira nie da się wypreparować i pokazać na scenie samych czynów i wyprowadzić ich z jakoby nieuświadamianych impulsów, bo nie da się usunąć tkanki refleksyjnej organizującej przecież całą akcję, która wynika w tej tragedii właśnie z intelektualnego stosunku Hamleta do własnych uczuć: podejrzeń, nienawiści, oburzenia, grozy. To intelekt każe szukać Hamletowi u z a s a d n i e ń tych uczuć, tymi zaś uzasadnieniami są d o w o d y winy Klaudiusza, które Hamlet uzyskuje, organizując z całą precyzją spektakl wędrownych aktorów, coś w rodzaju psychodramy wydobywającej na jaw zbrodnię Klaudiusza. To r o z u m Hamleta domaga się a r g u m e n t ó w, uprawniających go do działania czyli do spełnienia obowiązku, jakim w myśl ówczesnego kodeksu honoru i zemsty jest odpłacenie śmiercią za śmierć ojca czy brata, za pohańbienie żony, siostry czy córki. To pełna ś w i a d o m o ś ć tego, co czyni, powstrzymuje Hamleta od pchnięcia sztyletem w plecy stryja Klaudiusza, gdy ten się modli, żałując za grzechy. Hamlet odwlecze swój czyn, aby stryj nie zszedł ze świata oczyszczony modlitwą, ma być bowiem pokarany mękami piekielnymi za morderstwo i „kurwienie“ Gertrudy.

Ta p r a c a u m y s ł u jest wyraziście wyakcentowana w spektaklu Maciejowskiego, w roli Hamleta. Ten Hamlet, w którym rozpacz graniczy z szyderstwem, a namiętna tkliwość z gryzącą ironią, ten Hamlet jest zawsze świadomy nie tylko przyczyn i racji swojego postępowania (o ile człowiek w ogóle wie bez reszty, jaka jest pełna komponenta motywacji jego czynów), ale i sposobów działania: w tym „Hamlecie“ na przykład obłęd Księcia jest wyraźnie odgraniczony od stanów normalnych i nie staje się z biegiem akcji obłędem całkowitym, prawdziwym czy nawet półobłędem. Jest obraną metodą działania. Zachowanie Hamleta można by raczej określić jako działanie pod wpływem silnego stressu.

Maciejowski zostawił, oczywiście, margines na to, co w człowieku może być z podświadomych motywów działania. Ale w pierwszych spektaklach w grze Marii Chwalibóg — namiętne uściski matki i syna, pocałunki w usta zbyt jawnie sugerowały erotyczne napięcie między Hamletem a Gertrudą. Spłycało to filozoficzną wymowę dzieła, osłabiając zarazem wagę innych, złożonych motywów Hamleta — moralnych, społecznych, psychologicznych.

W dalszych spektaklach ten kompleks Edypa znacznie został wyciszony, a w interpretacji Ewy Mirowskiej grającej obecnie Gertrudę, ten motyw prawie zupełnie się zatarł. Rola ta w ogóle nabrała innych akcentów. Królowa jest tutaj słabą kobietą, która fatalnie zbłądziła, ale w pewnym momencie, pod wpływem Hamleta uzyskuje pełną świadomość swoich czynów i wie, że musi przyjąć za nie odpowiedzialność. Przeistoczona, przeniknięta obudzoną miłością macierzyńską, staje po stronie Hamleta, aprobując jego postawę moralną. Jest już tylko tragicznie uwikłana w swoją sytuację żony mordercy, i matki mściciela ojcowego, pochłonięta beznadziejnym szamotaniem się Hamleta między obowiązkami syna a miłością do matki, Hamleta osaczanego przez przemoc Króla, chytrość jego dworzan. Taką interpretację roli Gertrudy narzuciła Mirowskiej niewątpliwie jej osobowość aktorska.

Szekspir uczynił Hamleta nosicielem „kryształowych pojęć“ — jak pisze o tym Zbigniew Herbert w swoim „Trenie Fortynbrasa“ zamieszczonym w programie teatralnym łódzkiego spektaklu. Ten tekst nie jest przywołany bez powodu. Bargiełowski bowiem nie wykastrował Hamleta z tych pojęć, dał tylko Hamletowi młodzieńczy, rozpaczliwy niepokój, wielką wrażliwość potęgującą cierpienie, niecierpliwy gniew, które sprawiają, że mniej tu wahań wobec zamierzonego czynu, więcej szarpaniny wobec paraliżującej jego działanie przemocy i chytrej czujności stryja, narzucającego młodemu Księciu „reguły gry“. Dlatego ten Hamlet rwący się do czynu jest jednak „nie do życia“: nie może się w pojedynkę swoimi wątłymi siłami zmierzyć ze złem totalnym, w jakim mu żyć przypadło, nie może też, aby zwalczyć zło, ominąć znieprawiających go skrzydeł zła. Sam knuje spiski w samoobronie. Zabija. Musi przejść przez swoją „smugę cienia“, po przekroczeniu której „ziemia, ten piękny twór“ zaczyna się wydawać „skrawkiem ugoru“, a człowiek — „owo arcydzieło podobne bóstwu w swoich wyobrażeniach, symbol wszelkiego stworzenia“ stanie się dla doświadczonego Hamleta, zgodnie zresztą z szekspirowską wiedzą o sprzecznościach zawartych w naturze ludzkiej i zgodnie z realistycznym spojrzeniem późnego Odrodzenia na istotę ludzką — potencjalnie zdolnym tak do wielkości, jak i do nikczemnej małości — kwintesencją prochu, gliną ludzką. Hamlet w planie fabularnym przegrywa, bo traci życie, dokonując tak mało, choć chciał dokonać tak wiele: przywrócić ład moralny. W planie filozoficznym i psychologicznym natomiast zyskuje — mądrość; dojrzałą, gorzką, pełną wiedzę o człowieku, o świecie. Dlatego ten Hamlet z takim przekonaniem może powiedzieć: „Człowiek mnie nie bawi. Kobieta także nie!“, dlatego umie się zdobyć na stoicyzm, zgodę z ludzkim przeznaczeniem, ze śmiercią. Z jakąż wielką dojrzałością wewnętrzną, z jak wielkim spokojem mówi Marek Bargiełowski: „Jeżeli TO (śmierć — przyp. W. K.) nastąpi teraz, nie stanie się potem. Jeżeli nie stanie się teraz, to przecież nastąpi potem. Trzeba być gotowym. To wszystko. Ponieważ żaden człowiek nie wie, co porzuca, cóż znaczy porzucić coś przedwcześnie“. Nie jest klęską Hamleta to filozoficzne spojrzenie na kondycję ludzką.

Piękna rola Marka Bargiełowskiego. Piękny, mądry spektakl Jana Maciejowskiego. Spektakl ten jest pełną tragedią, obywa się bez szekspirowskiego, klasycyzującego „optymistycznego“ zakończenia, jakim jest w oryginale sztuki triumfalne wkroczenie wojsk Fortynbrasa, jako „rzecznika przyszłego ładu wnoszonego na miejsce nieporządku społecznego“. Reżyser usunął z aktu IV scenę przemarszu armii Fortynbrasa przez Danię na wyprawę do Polski i ograniczył epilog tylko do słów Norwega, które brzmią jak suchy komunikat o objęciu Danii, do której miał jakieś zadawnione prawa. Cięcia tekstowe słuszne, cóż jest bowiem optymistycznego w fakcie przejęcia władzy przez obcego w kraju doprowadzonym do upadku przez swoich? Jakiż to szlachetny jest ten przyszły król, Fortynbras, włóczący swoją armię po całej Europie dla zdobycia skrawka polskiej ziemi. Nie z tego, wątpliwego happy endu wyprowadza Maciejowski przesłanie spektaklu, ale z istotniejszych spraw, które były osnową tragedii w jakiej uczestniczyliśmy. Podczas gdy maszyniści rozbierają konstrukcję z czarnych jakby nadpalonych bali (Elsynor, państwo duńskie przestaje istnieć) i na ruiny jego wkracza Fortynbras, odzywa się Horacy, przyjaciel Hamleta. Mówi „o niecnych czynach, zbrodniach krwawych i przeciw naturze, o ślepych sądach, zabójstwach z przypadku, śmierciach zadanych gwałtem i podstępem, wreszcie o spiskach, które, spudłowawszy, trafiły w głowę tych, co je uknuli“. Przesłanie spektaklu narzuca się samo: świat przeżarty przez amoralizm musi zginąć, rozpada się w gruzy. To jest wymową spektaklu, jego plan ogólny, filozoficzno-moralny. Szkoda tylko, że wraz ze skrótami wątku Fortynbrasa musiał wypaść monolog Hamleta: „Czym jest człowiek, jeżeli dlań dobrem i wartością czasu jest sen i pokarm?“ W monologu tym staje Hamlet przed późnorenesansowym „problemem sprawdzania miar i wag człowieczeństwa“. Szkoda tych słów, zwłaszcza że najbardziej znaczący dla problematyki „Hamleta“ monolog „Być albo nie być“ stracił nieco na wyrazie. Reżyser kazał go rozegrać aktorowi w efektownej wprawdzie, nie tradycyjnej sytuacji, prawie jako dialog, tyle że z niemą partnerką, Ofelią, cofającą się przed nim w przerażeniu, potem przykurczoną w trwodze nad ziemią, ale to związanie monologu z postacią Ofelii nie jest chyba najszczęśliwszym chwytem; sens filozoficzny tego monologu wychodzi daleko poza cząstkową sprawę, jaka jest w „Hamlecie“ przypisana Ofelii, poza sprawę zniszczonych związków uczuciowych i jej udziału w osaczaniu Księcia przez Poloniusza.

Spektakl byłby też może pełniejszy w wyrazie artystycznym, gdyby jeszcze rolę Ofelii udźwignęła Teresa Marczewska, gdyby ze sceny swej Grabarze wydobyli nie czysto słowny komizm, a rubaszny, ludowy sceptycyzm wobec doli ludzkiej, jednakiej dla głowy koronowanej, jak i dla królewskiego błazna, gdyby... Gdyby jeszcze reżyser nie obciął tak niemiłosiernie tekstu wędrownych aktorów, a ich spektaklu o śmierci Gonzagi nie sprowadził do pantomimy, która mija tak szybko, że widz nie znający innych inscenizacji „Hamleta“ nie jest zdolny odczytać psychologicznego uzasadnienia dla trwogi, wzburzenia i ucieczki Klaudiusza ze sceny.

Mimo wszystkie skróty i poszczególne słabsze sceny, wydobyta została szeroko pojęta problematyka moralna, mówiąca o konieczności norm etycznych w życiu politycznym, społecznym, osobistym, o konieczności wyboru podstawowych pierwszych wartości, całość bowiem spektaklu jest przyporządkowana konfliktowi dwóch postaci, dwóch postaw, dwóch wizji świata: amoralnego świata Klaudiusza i jego sług ze „światem kryształowych pojęć“ Hamleta. Tego Hamleta jednak — jak powiada Zbigniew Herbert — „nie do życia“, ginącego pod naporem zła i przemocy.

WANDA KARCZEWSKA

## ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

### Kwiaty dla lady Makbet

*p. Barbarze Wachowicz*

Odblaskiem pochodni rzeźbione sklepienia,
kręte korytarze i przejścia podziemne,
którymi samotnie w czas nocy jesiennych
przechadza się jeszcze duch króla Duncana...
Zapach spalenizny powieje z wrzosowisk,
a kto słucha pilnie usłyszy wśród wiatru
pieśń jak kruk lecącą z sabatu czarownic
lub fragment tyrady krwawego teatru.
O ściany, słyszące nie jedną z tajemnic,
strzegące ich dotąd niby oka w głowie,
którą niegdyś Makbet w czynie ostatecznym
za podszeptem żony uciął Duncanowi...
To nie była chłodno wymyślona zbrodnia
jak niegdyś to stwierdził dramaturg z Avonu
lecz rachunek krzywdy z nawiązką spłacony...

Posłuchajcie zatem co mówi historia:

Nim do Glamis Castle przybyła kobieta
stając się symbolem występku dla świata
Malcolm II zabił jej dziada Kennetha,
skrytobójczo potem zamordował brata,
a pierwszego męża Gilcomgaina spalił...
Z płonącego domu do zamku Makbeta
bogobojna, piękna i szlachetna pani,
by z czasem poślubić kuzyna ucieka.
I tutaj (do szkockich znów zajrzyjmy kronik)
funduje klasztory... Czyż tą samą dłonią
na której krwi ślady zdobić mogła pono
ołtarze zamkowe kwieciem niezliczonym?
Od głów nienawistnych po kwiatów ścinanie
jak do gwiazd od ziemi daleką masz drogę...
Czemuś z nią tak srogo obszedł się Wiliamie,
biedną białogłowę zarażając mordem?

O borg jej należny po dziadku i bracie
w myśl dawnych przekonań walczyła o swoje...
Duncan nie był starcem lecz butnym smarkaczem,
jako wnuk Malcolma zasiadał na tronie,
ten zaś jak to głosi karta zapisana
prawnie przynależał naszej zacnej lady...
Nie ma co się dziwić, że jej mąż go zabił,
a znowu po latach Malcolm syn Duncana
zgładził w czasie bitwy mszcząc się za śmierć ojca
człeka co w Twej sztuce nosi imię Makbet...

P.S.
Którą pan Jonesco, laureat Nobla
przerobił z kolei na nowy kabaret.

## SREBRNA ŁÓDKA I SREBRNY PIERŚCIEŃ

Tegoroczną nagrodę Srebrnej Łódki, fundowaną przez Towarzystwo Przyjaciół Łodzi za najciekawszy spektakl sezonu od marca 1972 do tegoż miesiąca 1973 roku, otrzymał **Teatr im. Jaracza za „Hamleta“ Szekspira w reż. Jana Maciejowskiego.** Nagrodę Srebrnego Pierścienia, utworzoną przez Wydział Kultury i Stowarzyszenie Dziennikarzy, przyznaną dopiero drugi raz z rzędu, dostał **Marek Bargiełowski** za wybitne osiągnięcia aktorskie w tym czasie, to jest za rolę tytułową w „Hamlecie“ oraz Kreona w „Antygonie“ Sofoklesa.

Z racji tych dobrze zasłużonych dwóch nagród, jakie przypadły w tym roku Teatrowi im. Jaracza za spektakl „Hamleta“, który utrzymuje się nadal w repertuarze z nieco tylko zmienioną obsadą, oraz z racji przypadającego Międzynarodowego Dnia Teatru — „Odgłosy“ składają laureatom serdeczne gratulacje.

# „AMERYKA“

Łódzki reżyser teatralny (i scenograf zarazem) Jerzy Grzegorzewski, od kilku lat związany z Teatrem im. Jaracza i mający w swoim dorobku artystycznym inscenizacje „Białej diablicy“ Webstera, „Wesela Wyspiańskiego, „Irydiona“ Krasińskiego, „Czajki“ Czechowa, „Balkonu“ Geneta (prapremiera polska!), a ostatnio „Antygony“ Sofoklesa, jak również „Eryka XIV“ i „Sonatę widm“ Strindberga — spektakle teatru tv, tym razem wystąpił w Warszawie.

Wystąpił gościnnie w Teatrze „Ateneum“, gdzie przedstawił „Amerykę“ Franza Kafki w przekładzie Juliusza Kydryńskiego i własnej adaptacji, reżyserii oraz scenografii. Jest to najdojrzalsze, najbardziej harmonijne w formie plastycznej i treści ideowej dzieło Jerzego Grzegorzewskiego. Nie waham się określić inscenizacji „Ameryki“ mianem wybitnego wydarzenia artystycznego. Zadecydowały o tym wszystkie elementy przedstawienia, a szczególnie — wyjątkowo sugestywna i śmiała kompozycja przestrzeni.

O tym, że Grzegorzewskiemu za ciasno na tradycyjnej scenie, można się było przekonać już w „Balkonie“, gdy akcja dramatu przenosi się na widownię na parterze i na piętrze. Tendencje do poszerzania planu, rozciągnięcia przestrzeni znać było też w ostatnim spektaklu łódzkim — „Antygonie“. „Amerykę“ Kafki rozgrywa Grzegorzewski niemal na całym parterze Teatru „Ateneum“. Spektakl rozpoczyna się po 21. w momencie, gdy widzowie „Gyubala Wahazara“ Witkacego opuszczają teatr po przedstawieniu na dużej scenie. Nim to nastąpi, widownia małej „Sceny 61“, znajdująca się po prawej stronie hallu naprzeciw szatni, jest już zapełniona. Widzów na przedstawienie „Ameryki“ wprowadza się wcześniej, korytarzem bocznym, przez drzwi używane zwykle jako wejście dla aktorów. Rzędy krzeseł ustawione są na wprost dwojga dawnych drzwi wejściowych, teraz zamkniętych (potem okaże się, że pomalowanych na czerwono). Między tymi drzwiami wolna przestrzeń, uzyskana przez wybicie ściany, dzielącej tę salę od hallu koło szatni. Stworzona w ten sposób jakby rama sceny, z początku częściowo zasłonięta na wpół przeszklonymi kratami okien, odsłania cały hall i szatnię. Światło na widowni wygasa i stajemy się świadkami niezwykłego zdarzenia. Poprzez ową ramę, zza żelaznych krat oglądamy jak na ekranie filmowym barwny, pulsujący tłum. To widzowie po spektaklu „Wahazara“ wypełnili całe foyer teatru; przeciskają się do szat-

# ŚLEPY TRAF

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Już w szkole dał się poznać jako nieobliczalny facet. Według nauczycieli — błyskotliwy talent i jednocześnie leń jakich mało, według nas — cwaniak dużej klasy — gotowy jednego dnia do najdzikszych wybryków, a drugiego — cichy jak trusia aniołek, którego trudno było posądzać o znajomość złodziejskiego żargonu i namiętność do wina „Wino"... Doskonały polonista i matematyk, które to walory rzadko chodzą ze sobą w parze, znikał ze szkoły na całe dnie, wracał z pokorną miną i listem od matki (ojca nie miał), że: „syn się na pewno poprawi"... I rzeczywiście dojeżdżał do końca okresu na samych piątkach, nie opuszczając przy tym, wraz z nami, sobotnich i niedzielnych ubawów w „Sezamie" i u „Kopra". Kiedy po maturze rozprysnęliśmy się na wszystkie strony jak stado spłoszonych wróbli — straciłem z nim kontakt dowiadując się tylko od czasu do czasu, że Paweł:

„...Zdał w doskonałym stylu egzamin na uczelnię..."

„...Napadł po pijanemu na przechodnia i dorobił się wyroku..."

„...Wyszedł, zdał od nowa wszystkie egzaminy, chce się żenić..."

„...Narozrabiał, wylali go, znów jest na bruku, pije..."

Spotkałem go wtedy. Chodził zarośnięty, brudny, zmięty fizycznie i psychicznie. Nie było na niego rady, nie było siły, która mogłaby przemówić mu do rozsądku. Marnował się fajny, zdolny chłopak, którego coś spalało, zżerało, spychało do rynsztoka (czy tylko wódka?) — z jego własną, nieprzymuszoną wolą, a może również i mimo woli...

W rzadkich chwilach trzeźwości przyrzekał „powrót do normalnego życia", studia, opiekę nad matką. Na jakiś czas dźwignął się zresztą rzeczywiście, znalazł dziewczynę gotową znosić jego zmienne nastroje i ekstrawaganckie pomysły. Potem trafiła mu się praca w jakimś biurze projektowym, a że miał głowę na karku, kreślił jak nikt i można było na niego liczyć w rozmaitych sytuacjach, więc w biurze cenili go, lubili — i choć z biegiem czasu znów zaczął brykać po swojemu — przymykali na to oczy. Jak długo? — nie wiem, bo nie widziałem go ponad dwa lata i tylko przypadek zrządził, że spotkałem go tego dnia w stoisku spożywczym „Centralu". Poznaliśmy się z daleka i prawie jednocześnie przekładając druciane koszyki z prawej do lewej ręki zapytaliśmy: „No co jest, stary — jak żyjesz?" Paweł miał znowu przykre, rozbiegane, niespokojne oczy, jak zawsze w okresach pijaństwa. I wiedziałem też, że jak zwykle będzie chciał mówić, usprawiedliwiać się, roztaczać miraże, przysięgać i zapewniać, że...

Szliśmy wolno w dół Piotrkowskiej zaczynając co drugie zdanie od: „a pamiętasz stary...?", skręciliśmy w Andrzeja i koło „Balatonu" Paweł powiedział: —

— Cholera, byłbym zapomniał o „Totku", wejdźmy tu — do tego punktu, chcę spróbować szczęścia...

Weszliśmy, a kiedy Paweł położył przed okienkiem pokaźną paczkę pokreślonych iksami kuponów i parę stuzłotówek, zakpiłem:

— To ma być próba? — Paweł? Pewnie spędziłeś nad tymi krzyżykami z pół nocy i coś mi się widzi, że dla odmiany wpadłeś ostatnio w szpony hazardu?

Paweł skrzywił się, zapłacił, schował kwitki do kieszeni kurtki i wycedził:

— Hazard? Co ty bracie wiesz o hazardzie? Żeby nie hazard to jeden mój kumpel... Ale wiesz co — wejdźmy na górę do kawiarni to przejrzę kupony i opowiem ci wszystko po kolei.

1.

**— To było jakiś tydzień temu — zaczął i przerwał czekając aż kelnerka postawi przed nami kawę i odejdzie — byłem wtedy przy forsie jak nigdy. Trafiły się dobre fuchy — wiesz, pomiary w terenie, czasem jakiś projekcik, rysunki, no i ździebko z kart...**

**— Nie, nie „trzy karty" — skrzywił się — to dobre dla gówniarzy na Czerwonym Rynku, którzy i tak 80 procent utargu odnoszą w ząbkach do swojego p a t r o n a... Ja jestem wolny człowiek. W porządnym towarzystwie — brydżyk, kanasta, remik, z chamami — oko, w akademikach — pokerek... Wiesz jak jest — przy dobrych układach trafiałem niezły grosz, tylko że mnie się forsa nie trzyma.**

**Tego wieczoru nagnałem do Heńka — to taki jeden mój kumpel, nie znasz go — z Warszawy tu przyfrunął, po Akademii, tyle że dyplomu zabrać nie zdążył — no więc nagnałem do Heńka, z którym od czasu do czasu organizujemy małe partyjki — dobrego, nietrafnego klienta. Poznałem gościa przez kierownika z mojego poprzedniego biura, który zaprosił mnie na obiad, bo... miał powody. Ale nie o tym chciałem... Otóż w trójkę z kierownikiem i tym facetem, bodajże kaletnikiem czy coś w tym rodzaju, zrobiliśmy pół metra żyta, potem drugie, starszy pan się rozgrzał i od słowa do słowa — zapragnął odrobić to co przepił — grą w „oko". No, nie powiem żebym mu nie pomógł w podjęciu decyzji. W każdym razie zatargałem go — pełna kultura — chyba mi wierzysz? — do Heńka.**

**Henio mieszka w wynajętym za dwa badyle pokoju z niekrępującym wejściem. W dzień śpi, w nocy maluje, a z czego żyje? Z tego głównie co mu mamusia — z tatusiem Henia rozwiedziona i powtórnie za mąż wydana — przyśle. Nie jest tego w sumie mało, bo i tatuś Henia też nie jest od macochy i swoje kochanemu synkowi podrzuci... U Henia zastaliśmy jego dziewczynę. Znam ją mało — taka nieduża brunetka, studiuje polonistykę i modli się chyba za i do Henia, bo tak na niego patrzy, że... Ale do rzeczy. Gość jak zobaczył pannę to nabrał wigoru i więcej na nią jak w karty patrzył. Nie graliśmy długo, ale jak go, gdzieś o dziesiątej wieczorem, wsadzałem — bez pretensji zresztą — do taksówki, to lżejszy był o trzy kawałki z hakiem.**

**Wróciłem na górę i wtedy — jak nigdy — posprzeczaliśmy się z Heniem przy podziale. Jemu niby na forsie nie zależy, bo gra — jak mówi — dla emocji — i to gra dobrze. Tym razem jednak się uparł, że weźmie pół, chociaż to ja organizowałem klienta. Przerzuciliśmy się więc głupio paru grubszymi słowami, dziewczyna się wtrąciła, Henio ją niepotrzebnie ostro skarcił i posłał do kąta — no i w końcu stanęło na tym, że zagramy o tę forsę. Właśnie my dwaj. W pokera.**

2.

**Z początku wszystko szło chłodno, ostrożnie. Tyle tylko, że ja miałem fula, a potem mocną trójkę i jak poczułem kartę — poszedłem na całego. Henio najpierw położył uszy po sobie, wyciągnął ze złości „Martella", którego dla lepszych gości chowa i ani się spotrzegłem jak połówka od Kaletnika była moja. Henio nalał, wypiliśmy duszkiem, potem powtórka — i to był mój błąd. Nigdy dotąd przy kartach nie piłem — nigdy. Kawka, herbatka — owszem — ale żeby wódka to nie... Wtedy jednak obśmiałem się tylko z Heńka jak głupi, rozparłem wygodnie, zapaliłem „Sporta" i od tej chwili moja sprawa się rypła...**

**Heńkowi karta szła jak zamówiona, a mnie coraz większa złość ponosiła, bo patrzył na mnie — artysta niedoszły, psiakrew! — jak na gówno, jak na ostatnią szmatę i pchałem mu się pod nóż jak wariat z byle parą, forsa mi topniała i przysięgałem sobie, że go zgnoję, zniszczę do ostatniej złotówki i noga moja tu nie postanie. Przysięgałem.**

**Henio widać myślał podobnie jak ja, tyle że teraz szczęście było przy nim — toteż rychło oddałem z powrotem wygraną przedtem dolę od Kaletnika, dołożyłem własne półtora badyla i już miałem się żegnać ozięble w następnym rozdaniu, kiedy Henio nie wytrzymał:**

**— No i widzisz ty bucu — powiedział do mnie — trzeba się było zgodzić na pół, tak jak chciałem na początku...**

**Wstałem. Normalnie wstałem do niego, jak nie do kumpla i wtedy nie wytrzymała dziewczyna. Skoczyła między nas z krzykiem, a właściwie z piskiem takim niemiłym. Heniek ją odepchnął — mocno — aż się zdziwiłem, a ona poleciała na ścianę odbiła się od niej i stała tak martwo — blada, z opuszczonymi rękami i zalaną łzami, umazaną tuszem twarzą.**

**Musiało coś być wcześniej między nimi, jeszcze zanim tu przyszliśmy z Kaletnikiem — pomyślałem i przestałem się przejmować dziewczyną, bo usiedliśmy i zobaczyłem swoje karty. Kierowy kolor z ręki!! Pociemniało, a właściwie poczerwieniało mi w oczach i wiedziałem już, że teraz Heniowi nie popuszczę. Modliłem się żeby tylko nie był goły, bo wtedy mógłbym się swoim szczęściem podetrzeć... Ale nie. Dobrał dwie karty, skrzywił się i zaczęliśmy...**

3.

**Skoczyliśmy sobie do gardeł jak dwa psy. Czytałem gdzieś — chyba u Londona o takiej walce — wilczura z buldogiem, który jak złapał wilka za gardło to mało go nie udusił. No to ten buldog to byłem ja. Ale Henio też był dobry. W krótkim czasie cała nasza gotówka była w banku, w tym z mojej strony uczciwy rewers dla Henia, że spodziewane lada dzień pięć kołów za fuchę w biurze przyniosę mu natychmiast w ząbkach, zegarek marki „Poliot" po rocznym przebiegu i złota obrączka Baśki... Wyżej nie miałem się co piąć i musiałem Henia sprawdzić. Jak zaczął wykładać po kolei te cholerne czarne serduszka to przy piątej karcie miałem ochotę zawyć. Stała się bowiem rzecz prawie niemożliwa — dobrał s... syn dwie karty do pikowego koloru i wygrał. Byłem goły, golutki, oskubany do czysta. Uczciwie. Wiedziałem o tym i nie miałem pretensji. Henio rozumiał jednak co się we mnie dzieje, bo kiedy brałem palto i w drzwiach powiedziałem „cześć" udawał, że go nie ma w domu.**

**Posiedziałem jeszcze trochę na klatce schodowej i jak już się we mnie wszystko, na spokojnie, obluzowało, zacząłem się zbierać do chaty. Akurat wstawałem, kiedy na górze trzasnęły drzwi i usłyszałem tupot na schodach. Patrzę — kto mnie mija? Jasne — dziewczyna Heńka! Leci w rozpiętym płaszczu, za jedno ucho ciągnie turystyczną torbę, która jej się o nogi obija i wcale na mnie nie patrzy.**

**— Coś ty głupia — gdzie lecisz o tej porze? — zawołałem za nią życzliwie, bo dochodziła już prawie druga w nocy. Ale gdzie tam — nie słyszała bo nie chciała słyszeć. Jak wyszedłem przed bramę to już jej nie było — musiała zaraz skręcić w przecznicę.**

**Idę więc w dół Wólczańską, noga za nogą, łeb na dół zwieszony i w pewnym momencie, kiedy stanąłem przed jakąś wystawą i gapiłem się na swoje zabłocone kapcie...**

**„Brudas!!". Prawdziwy „brudas"! Mocno czyimś butem przydeptany do chodnika ocalał na moje szczęście. Obmacywałem go i oglądałem na wszystkie strony, oczyszczałem z błota ładnych parę minut. Trzymałem go w ręku, mówiłem do niego czule: „Mój ty kochany brudasku" i szedłem — zgadnij gdzie?**

**Nie, nie do domu. Sam się połapałem dopiero po chwili, że coraz szybciej przebieram kopytami. Wracałem do Heńka! To była myśl! Odegram się — z pewnością się teraz odegram na tym kaczym... Takie szczęście to jak wróżba. Biegłem więc po trzy schodki, żeby jak najprędzej znaleźć się u niego, wejść w drzwi z tymi pięcioma słowami w łapie i zobaczyć jego minę...**

**Wszedłem, a właściwie wpadłem do mieszkania jak bomba i zobaczyłem... ten sznur, i jego jak manipulował coś przy szyi — i jak pospiesznie starał się wykopać spod siebie stołek...**

4.

**Heniek żyje. Zdążyłem go przytrzymać. Wprawdzie mało go sam nie powiesiłem, usiłując ściągnąć mu z szyi to paskudztwo, ale żyje. Dlaczego chciał TO zrobić? Nieważne. Jego sprawa. Jak chcesz możesz myśleć, że to przez dziewczynę... Ale nie myśl tylko czasem, że po tym wszystkim rzuciłem karty, koniec z hazardem, uczciwa praca i tak dalej... Jeszcze jeden nawrócony Paweł — to byłoby niezłe, co? W kinie, albo na papierze...**

**A tę forsę — no, tego „brudasa" — rozmieniłem tylko na papierosy, a resztę wpłaciłem na „Totka". Sam widziałeś. Może wygram. Należy mi się — nie...? W końcu nie co dzień ratuje się człowiekowi życie. A poza tym ja wierzę w szczęśliwe przypadki — w ś l e p y t r a f. Tamtej nocy mogłem się przecież nie wrócić... więc chyba jednak wygram — co — jak myślisz...?**

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

# GRZEGORZEWSKIEGO

TEATR

ni, odnajdują numerki, słychać szmer oddalonych rozmów, nawoływania ludzi pragnących odnaleźć się w tej przemieszanej masie. Niektórzy znalazłszy się w pobliżu „ekranu" zakamuflowanego okienną kratą przystają, popatrują w głąb sali i szybko znikają z pola widzenia, jakby schwytani na gorącym uczynku. Niekiedy w takich wypadkach publiczność bije brawo. Świadomie narzucony obraz spełnia już swoją funkcję, tylko na razie zdaje się być niewinną zabawą. W dalszym toku przedstawienia będzie się ten zamysł reżysera tłumaczył inaczej. Gdy opustoszałe foyer teatru zapełnią odziani w czarne kostiumy aktorzy, ukazując bezwzględność kafkowskiego świata, to oglądanie (podglądanie?!) ludzi zajętych tylko sobą, obojętnych dla nas i dla siebie nawzajem, osiągnie zgoła inną, groźną wymowę. Groźną dla kogo? Dla nas? Dla Karla Rossmanna?

Karl (Olgierd Łukaszewicz) podchodzi do kraty (od strony wewnętrznej, jakby wyszedł spośród widzów) i przez dłuższą chwilę przygląda się rzednącemu z wolna tłumowi. Padają pierwsze słowa — jeszcze wśród gwaru wychodzących — Karl rozmawia z Palaczem (Jan Żardecki). Ta scena, rozgrywająca się na pokładzie wielkiego statku płynącego do Ameryki, nabiera w opisanym otoczeniu rozmiarów ponadczasowych, znacznie wykraczających poza sytuacyjne hic et nunc. W dalszym rozwoju przedstawienia kolejność, rytm i nawarstwienie scen ujawnią mechanizm działania, zaprzeczający linearności zdarzeń i ich logicznej konsekwencji. Zdanie z „Dzienników" Kafki: „Daremnie logika jest nieugięta, nie może oprzeć się człowiekowi, który chce żyć" — z pewnością nie zostało zacytowane w programie teatralnym „Ameryki" przypadkowo.

W adaptacji Grzegorzewskiego całe epizody, ba, nawet niewielkie dialogi zostały rozproszone, rozbite na wiele scen, powracających jak wspomnienie szczątków rozmów, obrazów, sytuacji przywoływanych przez Karla.

Rytm ruchu wynika u Kafki z funkcji, jaką pełnią postaci w zhierarchizowanym świecie, a ściślej — z ich stosunku do bohatera „Ameryki", Karla. W przedstawieniu Grzegorzewskiego istnieją równolegle dwa wymiary ruchu i czasu. Pierwszy odnosi się do Karla: to p r z e z niego dzieje się tu wszystko, jedyny Karl zachowuje we wrogim, „zewnętrznym" wobec niego świecie wymiar rzeczywisty. Drugi rytm ruchu i czasu dotyczy pozostałych postaci i zdarzeń, w których one uczestniczą. Jest to rytm ponadnaturalny, rytm idei i spraw, nie rzeczywistych ludzi.

Grzegorzewski tak skonstruował swoje przedstawienie, że aktorzy grają nie realne postaci wyposażone w motywację psychologiczną, lecz prezentują przez swą grę idee. Szczególny to rodzaj gry, wymagający od reżysera i aktorów dużej dyscypliny i umiejętności. Trzeba przyznać, że w „Ameryce" sprostano temu zadaniu. Próbę tej konwencji gry aktorskiej mieliśmy okazję oglądać już wcześniej w łódzkim „Balkonie", a najpełniej było to widoczne w inscenizowanym przez Bohdana Korzeniowskiego „Nosie" według Gogola w Teatrze „Studio".

Na specjalną uwagę zasługuje muzyka Stanisława Radwana. Organicznie związana z tym pięknym przedstawieniem, znaczy w nim tyle co idea zawarta w cielesnym kształcie formy. Warto przypomnieć, że Radwan jest autorem muzyki do wszystkich inscenizacji Grzegorzewskiego, a ostatnio jego kompozycje w znakomity sposób przyczyniły się do sukcesu filmowego „Wesela" w reżyserii Wajdy. Wykonawcą kompozycji Radwana jest w „Ameryce" świetny kontrabasista Maciej Suzin. Dźwięki kontrabasu dobiegają z różnych stron. Muzyk został wkomponowany w przestrzeń teatralną na równi z aktorami; popychając przed sobą instrument przemierza korytarze, przystaje za okiennymi ścianami wśród kolumn w hallu, wędruje przejściem między szatniami, aby zniknąć w głębi w pobliżu bufetu. Muzyka spełnia w „Ameryce" rolę kontrapunktu; równoprawnego głosu w zdynamizowanej polifonii spektaklu.

W ostatniej scenie „Ameryki" Grzegorzewski uruchomił wszystkie machiny, wszystkie postaci i niemal wszystkie zastosowane wcześniej efekty. Stworzył przy ich pomocy wizję szczęśliwego świata, który w powieści Kafki nazwany został Teatrem Oklahoma. Karl ginie. Może dlatego, że zespół Teatru Oklahoma składa się z tych samych postaci, które go jeszcze niedawno dręczyły. Pieśń o szczęściu, powtarzana wielokrotnie, kończy spektakl. Jednostajny, beznamiętny chór głosów wypełnia gmach Teatru „Ateneum".

Tym razem droga z widowni do szatni prowadzi przez teren akcji „Ameryki". Na posadzce zostaje obrysowany kredą kontur ciała Karla Rossmanna.

ANNA KRAJEWSKA-WIECZOREK

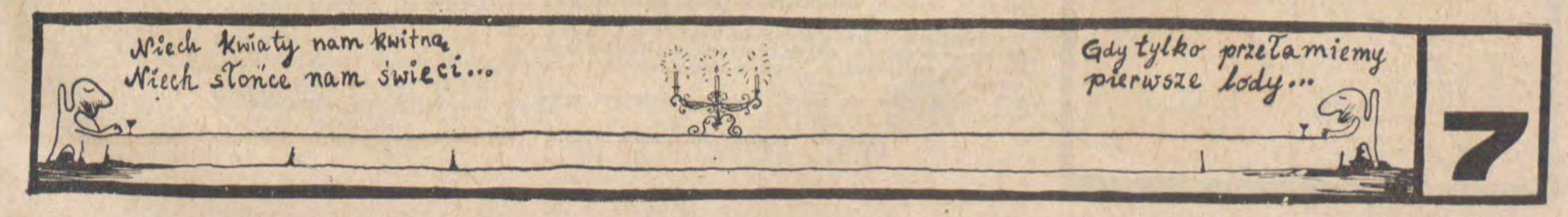

## MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

W międzyszkolnych rozgrywkach o mistrzostwo szkół średnich w piłce nożnej, poważnie w rachubę wchodziło tylko gimnazjum „Kopernika", gimnazjum „Kupców", Gimnazjum Niemieckie, Gimnazjum Miejskie i gimnazjum „Wiśniewskiego". Zresztą większość szkół nie zgłaszała się do tych nielegalnych mistrzostw. Sezon był krótki — te kilka powakacyjnych tygodni jesieni, kiedy jeszcze było pogodnie i ciepło. Toteż już w kilka dni po rozpoczęciu roku szkolnego, dość przygodnie dobierane zespoły dwu drużyn, stawiły się na boisku „Turystów" przy zbiegu ulic Nawrot i Wodnej.

O wybraniu cię do drużyny Gimnazjum Miejskiego zadecydowały dwie sekundy. Stoisz po lekcjach na szkolnym boisku w roli gapia i jedząc bułkę, przyglądasz się grającym w piłkę. Przyglądał się tej grze i Jagiełło, starszy kolega z siódmej klasy, który miał wyławiać spośród grających zawodników do reprezentacji. Piłka ze zbyt mocnej centry szła prosto na ciebie. Nie wiedziałeś, czy jako widz uskoczyć, czy z tej arcytrudnej pozycji — rąbnąć w bramkę. Wybrałeś to drugie. Lekki odrzut teczki do tyłu i strzeliłeś bezbłędnie w prawy róg. Głuchy jęk piłki — i posypał się z ceglanego muru tynk. Rozkoszne ciepło przelało ci się przez piersi aż do stóp. To był fuks!

Jagiełło z zawiniętymi nogawkami spodni, z rękami w kieszeniach, spluwając przez zęby, podchodzi do ciebie, przygląda się dłuższą chwilę i mówi:

— Kolega z naszej budy?

— Tak, od kilku dni.

— Gdzieście grali?

— U „Kupców".

— W ataku — i czeka na potwierdzenie.

— Tak.

— To jutro będziecie grać przeciw „Kupcom". Tylko się nie zesrajcie w barwach naszej szkoły! — i odszedł.

To nie było pytanie, czy propozycja. To była dyspozycja. Obleciał cię nagły strach, gaszony falami radości. Nie zgrany z nowym zespołem, nie dotarty po przerwie wakacyjnej, nie znający imion i nazwisk... A z drugiej strony ten strach przed spotkaniem się z przyjaciółmi i kolegami z tamtej drużyny której do niedawna przewodziłeś. Jedno w tym wszystkim pocieszające, że każdego ze swych jutrzejszych przeciwników znałeś na przestrzał, na pamięć, ze wszystkimi ich słabymi i mocnymi stronami. Przyglądasz się teraz wnikliwej grze, poszczególnym graczom, starasz się zapamiętać ich nazwiska, czekasz z nadzieją, że cię włączą do gry na prośbę, ale Jagiełło odszedł i więcej nie zwraca na ciebie uwagi. Rzucił tylko na odchodne:

— Więc jutro — Macieju, czy Wojciechu, jak tam wam — na boisku „Turystów" o czwartej, we własnych gaciach.

To było wczoraj. Strzał. Włączenie do drużyny. I ów chrzest na „Macieja", który już się do ciebie przykleł na trwałe. A teraz, za deskami jakiejś szopy przebierasz się w kostium gimnastyczny i wciągasz na nogi wysłużone, mocne buty. Do szopy schodzą się coraz to nowi gracze obu drużyn. Spod opuszczonej nad butami głowy spoglądasz ukradkiem, z bijącym sercem, na wchodzących kolegów z poprzedniej budy: Kazik Kozanecki, Stankiewicz, Heniek Rutkowski, Krahulec, Karmański — świetny bramkarz, Władek Poździej, Wacek Suwała, Bogdański, Jurek Grodzki, Wiśniewski — Szczypawa...

Wciągają koszulki z emblematami szkoły. Wreszcie musiało przecież nadejść to najgorsze: dostrzegł cię Janusz Głowacki.

— Serwus, Filozof! Do budy nie przyszedłeś, ale na mecz się stawiłeś! Grocuchna — odwrócił się — pójdziesz na rezerwowego. Filozof się znalazł!

— Ale ja się przeniosłem do tej budy. Gramy po przeciwnych stronach.

— Żartujesz! Ależ to bzdury... Poważnie?

I z jego twarzy znika radość i uśmiech. Podchodzą inni, witają się serdecznie, ale mają w oczach jakiś żal, pretensję.

— Te, „Kupcy", tylko nie kaperować! — rzuca Jagiełło i zaciąga się papierosem.

Stoisz na lewym skrzydle i czekasz na gwizdek sędziego. Wystarczy odwrócić się tylko tyłem i mógłbyś poprowadzić swą dawną drużynę do ataku przeciwko... Przeciwko komu? I przypominasz sobie zdanie Jagiełły: „Tylko się nie zesraj w barwach naszej szkoły".

Orzeł — czy reszka. Zaczynają „Kupcy". Gwizdek sędziego — i rusza atak. Wiesz, że na środku ataku Jagiełło, że na prawym skrzydle — Nonas, że w bramce — dwumetrowy Omietliński. Reszty nazwisk jeszcze nie znasz, imiona ci się mieszają.

— Kawnik! Erwin, do cholery! Trzymaj ryżego — krzyczy Jagiełło.

I zderzyli się, jak kule bilardowe, dwaj wspaniale zbudowani olimpijczycy: ryży Krahulec z owym Erwinem Kawnikiem. Piłka jak odprysk ze zderzenia wyskoczyła na bok i tu, jak zwykle przytomny i bystry w podbramkowych sytuacjach Głowacki, bije na bramkę. Omietliński jak pająk chwyta w długie łapy piłkę i wykopuje na środek boiska. Dobiegasz, gasisz. Jest pod nogami. Biegniesz naprzód, kątem oka wyławiasz Nonasa, podajesz mu i wyrywasz w kierunku Rutkowskiego. Rutkowski śmieje się na całą szerokość krosciatej gęby. Jest krępy, silny, szerokokanciasty, jak ziomek skały, nie do przejścia, nie do rozbicia. Wiesz, że póki Nonas nie rozgryzie Wróblewskiego — przegra w starciu. Wróblewski, podobny posturą do Rutkowskiego — to dyletant i techniczny partacz. Na rozstawionych, krzywych nogach, na oślep, z rykiem pcha się z furią na każdego przeciwnika. Gra „na kości", na łamanie nóg. Oczywiście, karambol — i Nonas, kulejąc, kustyka bez piłki na bok. Wróblewski, przygryzając wysunięty język, przymierza się nieporadnie do piłki. Rąbnął — poszła „na grzybki". Teraz koresponduje piłką zgrana trójka: Kozanecki — Głowacki — i wszędobylski Suwała. Atak „Kupców" załamuje się jednak na obronie, ale krążący w drugiej linii Krahulec, wali bombę tuż nad poprzeczką. Nie wiesz, czy czujesz żal, czy ulgę.

— Te, „Maciej", trzymaj się bliżej tamtej bramki, tylko uważaj na spalone — rzuca ci w biegu zadyszany Jagiełło. Teraz, po dalekim wyrzucie Omietlińskiego, biegniecie w kontrataku. Rutkowski czujnie cofa się tyłem, depcząc piętami swój cień, a Wróblewski jak furiat z rykiem rzuca się w kierunku piłki. Atakowany Jagiełło pozbywa się jej, przerzuca na prawe skrzydło do Nonasa. Rozmazuje pot na czole i krzyczy:

— Zenek, rwij naprzód i centruj.

Nonas podbiega z piłką kilkanaście metrów do przodu i pięknie centruje. Jesteś o kilka metrów od bramki „Kupców". Rutkowski przeliczył się. Poszła nad nim. Wyskoczyłeś błyskawicznie przed Karmańskiego — i lekko musnąłeś głową obniżającą lot piłkę. Dwa krótkie gwizdki sędziego. Oblewa cię fala szczęścia. Słyszysz radosny krzyk. Ze spuszczoną głową, kopiąc przed sobą kamyczek, idziesz wolno w kierunku środka boiska. Podbiegając do ciebie nowi kumple, walą cię radośnie łapami po plecach. Raz jeszcze widzisz, przeżywasz ten moment podbramkowy: szerokie plecy Rutkowskiego, osłoneczniona piłka tuż nad nim, z lewej bramkarz Karmański, sprężony jak kot. Wyskok do przodu, muśnięcie piłki głową, niemal niewidoczne załamanie jej lotu — i szary słupek bramki, który ją zasłonił na ułamek sekundy. Jeszcze Głowacki podbiegł do ciebie i dżentelmeńsko ściska ci rękę.

— Wallenroda nie będzie — rzucił mu ironicznie przechodzący Jagiełło i spojrzał na ciebie przyjaźnie.

Potem poszły trzy groźne fale ataku na waszą bramkę. Piękny strzał Kozaneckiego — ale prosto w ręce bramkarza. Przy drugim ataku wszędobylski Suwała omal nie wplątał się z piłką do bramki. Znów mieliście trochę szczęścia! Dopiero przy trzecim ataku wyrwał się jak płonąca, czerwona żagiew Krahulec i z powietrza wpakował bramkę nie do zatrzymania. Kawnik wali się dłonią w czoło i ryczy na stojącego obok współobrońcę:

— I co ty ofermo? Przyglądasz się z boku, czy trafi?!

Tym razem Gienek Krahulec odbywa triumfalny powrót. Idzie, lekko pochylony i uśmiecha się, delikatnie odpycha obiegających go kolegów. Krople potu spływają mu po czerwonej od piegów twarzy...

W szopie, podczas dziesięciominutowej przerwy, gwar: kłótnie i analizy. Pocą ci się wewnętrzne kąciki powiek od ostrego zapachu gryzionych cytryn, które przynieśli dla drużyny „Kupców" Goldstein i Winter. Strzelają gazem butelki lemoniady. A „kartoflarze" w swoim kącie nadstawiają spocone gęby pod strumień wody z kranu.

— Filozof! Cześć! — krzyczy Goldstein. — Trzymaj! Rzucam ci cytrynę!

— Nie chcę! — odkrzykujesz.

I nagle przelatuje ci przez głowę świadomość: w jakiej tu oni roli, ten Goldstein i Winter? Protektorów? Menagerów? Fundatorów? Jakże nietypowy dla gimnazjum „Kupców" jest ten zestaw nazwisk ich drużyny: Grodzki, Głowacki, Suwała, Karmański, Rutkowski, Wróblewski, Kozanecki, Stankiewicz, Poździej, Krahulec? Ani jednego nazwiska z tej dominującej większości synów kupców i przemysłowców! Czyżby im nie odpowiadał ten męski sport? Czy to przeczulone mamusie nie pozwalają rozpieszczonym synkom? I po co tu przyszli ci z cytrynami i butelkami?... I oto w tych kontrastach „kartoflarze" i „kupcy" — zarysowała ci się wyraziście trzecia formacja społeczna. Nie wiesz jeszcze o tym, że za rok większość z tych zawodników przeniesie się, podobnie jak ty, do Gimnazjum Miejskiego. Że będą grać znowu razem z tobą w jednej drużynie: Poździej, Suwała, Krahulec, Grodzki, Kozanecki, Wiśniewski...

Już w pełnym toku druga połowa gry. Przypływy i odpływy. Fajerwerki solistów. Dobrze przewidziałeś, że Wróblewski w końcu musi sprowokować rzut karny. Ofiarą jego furii stał się tym razem Jan Witek, którego odprowadzono poza barierę.

— Jagiełło! Jagiełło! Strzelaj ty!

Jagiełło stoi chwilę skupiony, z rękami na biodrach. Wargi i czoło czarne od kurzu. Krótko westchnął, splunął na bok, raczej podszedł, niż podbiegł do ustawionej piłki — i strzelił. Dwa gwizdki sędziego. Piękny, lewy róg! Karmański nawet nie drgnął. Trzyma dłonie oparte na ugiętych kolanach i patrzy w dół, na plamę cienia.

Wracamy na środek boiska, szczęśliwi. Poździej zmienia pozycję z Wiśniewskim. — To gorzej — myślisz. Poździej ze Stankiewiczem to groźny duet. Poździej ma daleki, celny strzał, po którym zawsze odchyla się sztywno do tyłu. Rozbiły się dwa nowe ataki na bramkę Omietlińskiego. Pod koniec gry wyraźnie was gniotą. Jagiełło wzmacnia obronę o Witka, który już wrócił na boisko. Gmatwaninę na linii obrony wyjaśnił Kawnik dalekim strzałem. Rwiesz do przodu z Jagiełłą i Nonasem, otwieracie nagle próżnię przed biegnącym wściekle Wróblewskim. Byle nie spalić. Na szczęście Rutkowski, jak osaczony tur, cofa się. Teraz chce przeciąć linię między tobą, a Jagiełłą. Nie zdąży. Masz przed sobą idealnie wysuniętą piłkę, walisz lewą — i piękny, klarowny gol!

I kiedy cię znów walą po plecach rozradowani koledzy, czujesz w sobie nieczyste sumienie. Jagiełło miał przecież równie dogodną pozycję do strzału, jak ty. Dlaczego ci podał?

— Trzy — jeden, to już wynik nie do odrobienia przez „Kupców". Jeszcze tylko kilka minut gry — i sędzia odgwizduje koniec zawodów. Spotkanie rewanżowe dopiero w końcu kwietnia...

— Kolego — mówi do ciebie uśmiechnięty Jan Witek — teraz gazem do budy, bo za piętnaście minut próba orkiestry.

Zaledwie kilka dni w nowej szkole, a jakie spiętrzenie spraw i wydarzeń! Jakie tu inne tempo życia! Bez liturgii, protekcji, chytrych, ambicjonalnych gierek. Tu życie biorą garściami za łeb. Za słowem — realizacja. Stwarzanie faktów dokonanych i branie odpowiedzialności. A nade wszystko własne inicjatywy, decyzje, realizacje, bez kurateli starszych, bez oczekiwania na pomoc ze strony tatusiów i nauczycieli...

Za chwilę znów cię powita rozjarzona światłami nowa szkoła.

Fragment powieści „Kilka imion miłości".

## EWA FILIPCZUK

# GRA

Powiem ci: nie licz na mnie. Kruchy, lekki świt
niesie do mego domu to, co tobą nie jest.
I budząc się nie pragnę, żebyś tutaj był,
A usypiając nie wspominam nigdy ciebie.

Gdy w raju utraconym policzę piękne dni
I wrócę do swej roli za zwyczajnym stołem,
Wtedy nie znajdziesz nic, nie mam dla ciebie nic,
Twoje miejsce jest gdzie indziej wyznaczone.

Z rzeczy ostatecznych zostaną popioły —
To jutro. Dziś — wybór mylny lub prawdziwy
Jeszcze nas zaboli, jeszcze wszystkich czeka.

Każdy jest tak szczęśliwy, jak na to zasłużył.
W tej grze nie licz na mnie. Każdy jest samotny
I na to zasłużył. Ty także, więc żegnaj.

## JANUSZ KRÓLIKOWSKI

★
★ ★

Ustanowiłem zakres
odbierania cudownych zjawisk
na wysokości drzewa

Dokonałem szeregu odkryć
dzięki słońcu nie podejrzewając
że mądrość wyrywana głazom
zacznie kiedyś boleśnie dojrzewać
w moim mózgu

Tęsknota
dla której szybkobieżne wiatry
obracały pod moimi stopami
różaniec podróży
i potajemnie zmniejszały ziemię
spowodowała w końcu
że urodziłem się po raz drugi
tym razem na zawsze

## FELIKS RAJCZAK

★
★ ★

TADEUSZOWI NOWAKOWI

Gdzie rozprzestrzenię się, by posiać
To, co w zanadrzu niosę? Ziemio,
Jak blisko jesteś mojej dłoni
I stopy, która idzie w ciemność.

To nie jest przeciw tobie. Słowo
Tak marne, jak krakanie wiatru
Na opuszczonej w polu sośnie,
Strunie pękniętej, lecz bez żalu.

Zbyt mocno siedzę w jej korzeniach
Gdzie słońce schodzi liści brzegiem:
I to milczenie jest słoneczne
A krzyk mój zasypany śniegiem.

I ten kto zawsze we mnie wierzył
Obudzi mię po wielkiej zimie,
Winnicę odda we władanie
W której poczęto świata imię.

Tradycyje pierwszokwietniowego żartu są bardzo pojemne. Mieszczą się w nich zarówno bajdy o sześcioraczkach, czy wizycie Marsjan, jak i pastisze, parodie, czy najczystszej wody purenonsens. Bawił się w ten sposób i zacny hrabia Fredro i w wiele lat później warszawski wierszopis, parodiujący „Pana Tadeusza" w słynnych „Mrówkach". Bawił się w ten sposób Stanisław Trembecki, jeszcze w wieku XVIII wymyślając „absurda" w swoim „Wirydarzu poetyckim". Ukochała parodię Młoda Polska, kpiąc piórem Boya ze współczesnych i klasyków.

Blisko pół wieku temu Jan Lechoń, Antoni Słonimski i Julian Tuwim wydali numer pierwszokwietniowy „Przeglądu (przed) Wieczornego", który był z jednej strony dokumentem absurdu na skalę kosmiczną, z drugiej zaś parodiował pewne style rzeczywistości gazetowej — i nie tylko. Tradycje są więc stare i bogate. Mieszczą się w nich i „Pracowita Pszczółka" Słonimskiego i Tuwima, i „Papierek lakmusowy" Witkacego.

W latach powojennych specjalne wydania parodystyczne na 1 kwietnia kilkakrotnie przygotowywały „Szpilki", a raz nawet poważny miesięcznik Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich „Prasa Polska".

Nasz skromny wkład do tych starych tradycji dajemy systematycznie od trzech lat. Tym razem jednak nie poprzestajemy na przedrzeźnianiu samych siebie. Zakładając, że czytelnik „Odgłosów" czyta także „Kulturę", „Życie Warszawy", „Przekrój" oraz lokalną prasę codzienną, przedstawiamy fragmenty tych pism w krzywym zwierciadle parodii.

JERZY WILMAŃSKI

# Kultura

## PERSWAZJE

1.

*Bóg jest jeden. Ale w trzech osobach. Pamiętam jeszcze sprzed wojny, że kardynał Kakowski miał hyzia na tym punkcie.*

2.

*Zjawił się u mnie młody, dość niechlujnie wyglądający człowiek. W kawiarni na Krakowskim mówią, że nazywa się tak jakoś — Słoczyński, Słojewski... Chciał mnie wciągnąć w dyskurs o Trzech Osobach.*

3.

*Ale to były inne Osoby, niż te, na których punkcie miał hyzia kardynał Kakowski. Dałem więc temu człowiekowi (Słoczyński? Słojewski?) radę, żeby się odczepił. Młodzi są ostatnio bardzo bezczelni.*

4.

*W „Biesiadzie Literackiej" też byliśmy bezczelni.*

5.

*Olek Świętochowski groził mi kiedyś laską, bo powiedziałem słowo „dupa". A czym mi dzisiaj może pogrozić Olek Małachowski?*

6.

*Ech, czasy, czasy...*

*MILTON*

# Życie Literackie

SZPALTY SZCZEROŚCI

## Przypomnienie

Będę szczery. Jest parę książek o ostatniej wojnie, które zasługują na uwagę. Wymieniam z pamięci: „Kierunek Cassino", „Przystanek Londyn", wreszcie cenna monografia „Monte Cassino" (nie Wańkowicza — niestety), jeszcze „Tryptyk włoski" i „Polskie drogi", zwięzła „Najkrótsza historia drugiej wojny światowej"...

Przypadkowo ja właśnie jestem ich autorem, ale przecież nie o to chodzi. Natomiast chodzi o to, że znalazłem się w sytuacji bez wątpienia przykrej — zmuszony do przypomnienia o tym fakcie Szanownym Panom Recenzentom.

T. ERLECKI

# Poczta literacka

*B.C. ŻNIN. Przeczytałem z ciekawością.*

*„W górze słońce gorące*
*a na dole ja..."*

*i tu rym — trzeba przyznać — wyszedł Panu nieźle. Myślę jednak, że za mało w tym wierszu uczucia.*

*MGR KAZIMIERZ C. LUBLIN. Pisze Pan nawet dość zgrabnie, ale poezja to jeszcze nie jest:*

*„Lubelszczyzno moja, ty*
*jesteś jak zdrowie*
*ile cię cenić trzeba ten*
*tylko się dowie,*
*kto cię stracił..."*

*Zbyt deklaratywny jest ten wiersz, brak w nim poetyckiej głębi. Niech Pan czyta klasyków — tam są wzory!*

*BARBARA W. SZAMOTUŁY. „I wonczas Przemek zdarł z niej giezło i rzucił na niedźwiedzią skórę..." Zaczyna się to dobrze, ale od powieści historycznej wymagamy nieco więcej realiów z epoki. Na 23 stronie Przemek mówi do córki kniazia: „Skocz do SAM-u po „Soplicę". Proszę Pani. Soplica to już inna epoka, to przecież XIX wiek!*

*A. Mickiewicz. Nowogródek, Juliusz S. Krzemieniec, Aleksander Głowacki, Warszawa, Cyprian Kamil N., Paryż, Kazimierz Przerwa. Kraków, Jan Kas. Zakopane-Harenda — na druk już za późno.*

# GŁOS ROBOTNICZY

## Małe wydanie „GR" nr 0013

CO TO JEST?

Mały Głosie! Przejeżdżając niedawno przez Kutno widziałam dziwne zjawisko. Zielone, wisi na drzewie i śpiewa. Co to jest?

ANNA B.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Bardzo możliwe, że był to po prostu śledź. Gatunek ten nosi nazwę śledzia pocztowego (Clupea harengus postage). Ale mógł to być również karp polny, rzucony przez wiatr na drzewo.

KĄCIK POCHWAŁ

DZIĘKUJĘ NAUCZYCIELCE

Bardzo dziękuję mojej nauczycielce historii ze szkoły nr 389 za to, że postawiła mnie w roku 1947 do kąta i potem o mnie zapomniała. Dzięki temu przetrwałem bez wstrząsów szereg różnych wydarzeń aż po rok 1973.

KAZIMIERZ POCHWAŁ

KŁOPOT Z DZIECKIEM

Mały Głosiku! Mam dziecko i boję się przyznać mamusi. Co robić?

Nastolatka

Zrobiłaś właściwie wszystko, co było w tej sprawie do zrobienia. Teraz niech się już dorośli martwią.

DYREKCJA WYJAŚNIA

W odpowiedzi na krytyczną notatkę prasową, zamieszczoną w „GR" (Małe wydanie nr 0011) przedmiotowo informujemy, że nasza załoga wykonuje z nadwyżką bieżące zadania produkcyjne, walcząc o tytuł najlepszej załogi województwa oraz zdobyła w roku 1959 sztandar przechodni CBTWZKNT. W świetle powyższych niewątpliwych osiągnięć naszej ofiarnej załogi zdziwieniem napawa nas fakt publikowania prasowego faktów podważających dobre imię przedsiębiorstwa i ludzi pracy, dających swój wkład w rozwój. Jednocześnie informujemy, że buty produkowane w naszym zakładzie nie „piją" wody — jak to nieodpowiedzialnie zostało sformułowane w przedmiotowym artykule, lecz są wykonywane z tzw. skóry hygroskopijnej. Instrukcja, załączona do wyrobu, przestrzega ew. użytkowników przed poddawaniem naszych wyrobów działaniu deszczu.

Dyrektor
mgr J. SZUFLADA

# DZIENNIK ŁÓDZKI

## Horoskop

**BARAN** (21.III.—18.IV.) Twoje akcje idą w górą, ale wszystko zależy od Ciebie. Zaufaj RYBIE. Nie wierz horoskopom.

**BYK** (19.IV.—20.V.) Twój los w Twoich rękach. Nie wierz horoskopom.

**BLIŹNIĘTA** (21.V.—20.VI.) Coś wisi nad Tobą. Może to być powodzenie w interesach — może nieszczęście. Wszystko zależy od Twojej decyzji. Nie ufaj horoskopom.

**RAK** (21.VI.—22.VII.) W najbliższych dniach zdecyduj się. Nie wierz horoskopom.

**LEW** (23.VII.—22.VIII.) Na dwoje babka wróżyła. Potrzebna Twoja decyzja. Nie wierz horoskopom.

**PANNA** (23.VIII.—22.IX.) Rób jak uważasz, ale horoskopom nie wierz.

**WAGA** (23.IX.—22.X.) Postanów coś bo się doigrasz. Horoskop wyrzuć do kosza.

**SKORPION** (23.X.—22.XI.) Przyjdzie walec i wyrówna. Horoskopy są zawodne.

**STRZELEC** (23.XI.—21.XII.) Weź się w garść a jeśli się już wziąłeś tydzień temu, to puść. Horoskopom nie wierz.

**KOZIOROŻEC** (22.XII.—20.I.) Zdecyduj — tak, albo tak. Uda Ci się, albo nie. Nie ufaj horoskopom.

**WODNIK** (21.I.—18.II.) Masz wiele do wyboru — decyzja zależy od Ciebie. Nie wierz horoskopom.

**RYBA** (19.II.—20.III.) Zaufaj BARANOWI albo komukolwiek i daj wreszcie spokój tym horoskopom!

DZIENNIK ZAŻALEŃ

## Zdarzenie

Pan Kucia został ostatnio osobistym narzeczonym baronowej Sołowiejczyk. Żeby nie było nudno, towarzyszył mu w tym Bezpalczyk, prezes Szczawnica i poeta Koszon.

Potem razem udano się do „Kokosa", gdzie właśnie młody Bezpalczyk emablował Globulkę Kukulczyniańską.

— Marsz do lekcji — powiedział ostro Bezpalczyk do latorośli.

— Są ciekawsze zajęcia — odparł bezczelnie młody Bezpalczyk, co wszyscy puścili mimo uszu, ponieważ szczeniak miał rację.

Pani Zosia przyniosła pół litra i konwersacja potoczyła się wartko.

EGAN

# Szpilki

## Listy Czytelnicy do pisarza B.

Panie B. Pan jesteś sługus i menda. Strzeż się pan — Nixon panu pokaże.

Życzliwy

Ty „pisarzu" zapluty! Napisałeś w tej swojej „książczynie": jego ręka wędrowała po udzie Marioli. Żebyś ty sam zawędrował do piekła, ty deprawatorze polskich dzieci.

Matka Polka

Ob. B. Dziwne, że czynniki jeszcze nie zareagowały na Waszą nieodpowiedzialną pisaninę. I to wszystko uprawiacie za pieniądze całego narodu. Ostrzegam Was, że zainteresuję tym, kogo trzeba.

Szczery Polak

## HECA HECA

Hej słup — cztery plus osiem.
Dobry wieczór, jestem cieciór.
No i co? Jajco.
Buch go w migdał.

Dziękujemy. Przepraszamy.

Nadesłali: Stanley Kowalski — Nowy Jork, Jan B. — Nowy Sącz, Marian E. — Paryż, Zofia L. — Szwecja (pow. Wałcz).

# ŻYCIE WARSZAWY

## Z cyklu: opowiadania teatralne

JANKO PROWSKI

## NOWA ROLA

*Dali mi tę rolę i bardzo się z niej ucieszyłem. Przecież każdy aktor marzy o Hamlecie. Ale to nie była łatwa rola. Grali już ją różni — wielcy i mali — początkowo nawet ogarnął mnie strach czy podołam.*

*Ale zwyciężyła ciekawość, choć początkowo zaskoczony propozycją reżysera zastanawiałem się, co począć.*

*Zdecydowałem się jednak — któż by się nie zdecydował. Tekst umiałem na pamięć — zresztą, każdy aktor go zna na pamięć. A ja od dzieciństwa miałem pociąg do sceny, w szkole grałem we wszystkich przedstawieniach, recytowałem wiersze podczas różnych uroczystości... Teatr to był mój strumień życia.*

*Więc zagrałem. Premiera odbyła się okazale, recenzenci gratulowali mi kreacji, a ja wciąż byłem niezadowolony. Coś mi tam w mojej interpretacji zgrzytało, czułem jakieś mielizny i fałsze.*

*Dopiero mój serdeczny przyjaciel, redaktor pisma „Literatura", otworzył mi oczy.*

*— Słuchaj powiedział — a może ty jednak wcale nie marzyłeś o Hamlecie?*

*Zaśmiałem się cicho — ale bez goryczy.*

# EXPRESS

## reporter zanotował

▲ Poważnego obrażenia się doznał dyr. B. Stan jego umysłu jest groźny. ▲ Do składu porcelany przy ul. Piotrkowskiej wtargnął słoń. Straty wynoszą sporo. ▲ W gmachu fabryki części niezbędnych zawalił się plan. Pod zwałami wskaźników zginęło paru ekonomistów ▲ Wczoraj rano pociąg relacji Warszawa — Łódź przybył na Dworzec Fabryczny bez opóźnienia. ▲ Na rogu Piotrkowskiej i Tuwima nastąpiło zderzenie dwóch różnych poglądów. Przyczyny karambolu bada specjalna komisja. ▲ Spłonął magazyn w Wytwórni Materiałów Ogniotrwałych. ▲ Pozostawione bez opieki dzieci w wieku 18 i 19 lat zaprószyły sobie głowę alkoholem. ▲ Wałęsający się po ulicy Eugeniusz K. wpadł w oko patrolowi milicji.

FILM

# W niemodnym stylu

J. L. Godard, F. Truffaut, C. Chabrol, J. Demy, J. Rivette, E. Rohmer — niemal wszyscy główni dziś przedstawiciele kina francuskiego — przed laty redagowali „Les Cahiers du Cinema", pismo, w którym począł się duch „nowej fali". Kolejno zamieniali pióra na kamery i jej pozostali wierni. Z ich grona wywodzi się również krytyk, reżyser, aktor i scenarzysta w jednej osobie — Jacques Doniol-Valcroze, autor filmu „DOM PAŃSTWA BORIES". Panowie ci dowiedli, że „robić kino", i to często znakomite, można bez wieloletnich studiów i dyplomów, co więcej, swą filmową działalnością artystyczną określili wcale nie bagateliny przełom w dziejach sztuki filmowej, do dziś nazwiska ich znaczą nie tylko w kinematografii francuskiej.

Doniol-Valcroze jest reżyserem mało u nas znanym. Wcześniej oglądaliśmy tylko film „Denuncjacja", jego nowa propozycję „Dom państwa Bories" trudno będzie uznać za wydarzenie artystyczne. Film ten ogląda się jednak z dużą przyjemnością, co w naszym chodzeniu do kina jest przecież wartością samą w sobie. Temat filmu, zważywszy to, co w kinie głównie się dziś ogląda, jest zupełnie niemodny. Reżyser opowiada bowiem historię cnotliwej małżonki, która dla dobra rodziny rezygnuje z miłości. Kto dziś takie opowieści snuje, naraża się prawie na śmieszność, toteż odwagę francuskiego autora cenić nam trzeba, tym bardziej, że i postać męża — tyrana, obrazy jego zachowań w domu wobec żony i dzieci wydają się nieco anachroniczne. Okazuje się przy tym, że historia taka brzmieć może zupełnie prawdopodobnie i to pewnie dlatego, że w życiu czasem tak bywa, choć w książkach i filmach znacznie rzadziej. Sam Doniol-Valcroze, na wszelki wypadek, dzieje rodziny Bories i potencjalnego kochanka pani domu sytuuje w okolicznościach, które owemu prawdopodobieństwu służyć mają. Łatwiej widać wytrwać w cnocie kobiecie, która życie swe pędzi na dalekiej prowincji, gdzie ściany mają uszy, a spokojny rytm dnia wyznacza styl i sposób bycia, trudniej w tętniącej życiem metropolii, w której zagubić i ukryć znacznie prościej. Wygląda zatem na to, że postać Izabelli tłumaczy się tylko wewnątrz tej historii, a określa ją specyficzny entourage. Dajmy jednak żartom spokój, jako że rzecz sama w sobie jest bardzo pięknie na ekranie pokazana.

Zdjęcia Ghislain Cloqueta, jednego z najlepszych francuskich operatorów, rejestrują uroki górskiej przyrody, wśród której życie rodzinne wygląda szczególnie malowniczo, a o takiej prowincji można marzyć tylko we snach. W zdjęciach Cloqueta widzi się nie tylko barwy lata, ale i czuje jego zapach. Dziecięce zabawy, spacery, pełne niezwykłego klimatu letnie poranki i wieczory stanowią niezwykle nastrojową oprawę rodzącego się uczucia dojrzałej pani domu i młodziutkiego gościa jej męża. Ma w tym też swój udział płynąca z ekranu muzyka Mozarta. Kamera chwyta pejzaże i scenki rodzinne, bądź zatrzymuje się na szczegółach, które z pozoru mało ważne, budują klimat całej opowieści. W zdjęciach tego filmu, w delikatności lata jest jego zmysłowość. Delikatność i zmysłowość określa też uczucie, które żywią do siebie Izabella i Carl-Stephan. Uczucie to, wbrew ochotom obu stron, zostanie niespełnione. Jedyną sceną miłosną będzie ta, w której oboje kochanokwie w osobnych pokojach, na odległość kochać się będą. Scena ta tyle samo naiwna i staroświecka, co pełna niekłamanej zmysłowości i romantyzmu, stanowi przeciwieństwo wszystkich płynących z ekranów erotyzmów. Tak zresztą, jak cały film Doniol-Valcroze'a, który na przekór wszystkim modom opowiada tę bardzo piękną, choć nieco anachroniczną historię miłosną. Może dlatego właśnie tak bardzo się podoba publiczności.

„Dom państwa Bories", film pełen elegancji i wdzięku, delikatnych nastrojów i aluzji, pełen wewnętrznej kruchości, mógł być robiony tylko przez Francuzów, w ich kinie bowiem wyłącznie spotykamy jeszcze od od czasu do czasu uroki, o których kino światowe dawno już zapomniało. Uroki te działają odświeżająco.

EWA NURCZYŃSKA

# TV Wielka miłość Balzaka

Poprzedzony wielką reklamą rozpoczął się kolejny serial w TV, którego bohaterami są piękna Polka i sławny pisarz francuski. W tym wypadku, już po obejrzeniu pierwszego odcinka, można powiedzieć, że nie tylko trafny był wybór tematu, lecz i pod względem artystycznym będzie to zapewne rzecz udana. Świetnie dobrano aktorów. Trudno sobie wyobrazić w roli Eweliny Hańskiej inną aktorkę niż Beatę Tyszkiewicz. Również Paul Meyrand prezentuje sylwetkę Balzaka zgodną z naszymi wyobrażeniami o autorze „Komedii ludzkiej".

Spółka autorska też wydaje się szczęśliwie dobrana. Jerzy S. Stawiński to doświadczony scenarzysta. W pierwszym odcinku uraczył nas dowcipnym, lekkim dialogiem. Wspólnie z reżyserem Wojciechem Solarzem zadbali o pietyzm historycznych szczegółów. Jeśli więc następne odcinki będą utrzymane na poziomie pierwszego to przez kilka tygodni czekają nas atrakcyjne niedzielne wieczory.

Myślę, że nie tylko dobry żart tynfa wart, ale i pomysł. Z serialem Solarza telewizja nasza ma szanse wejść do europejskich programów, posługując się Balzakiem jak tarczą. Ale to oczywiście tylko połowa sukcesu. O tej drugiej połowie nasi twórcy nie zapomnieli, co piszę niejako na kredyt, ale chyba mnie intuicja nie zawiedzie. Na szczegółową ocenę przyjdzie odpowiedni czas — po zakończeniu całego cyklu.

# „Beatrix Cenci"

Po „Mazepie", Gustaw Holoubek zrealizował w poniedziałkowym teatrze TV „Beatrix Cenci". Jeśli „Mazepę" bez zastrzeżeń oceniono jako wydarzenie teatralne, to samo trzeba powiedzieć o ostatnim spektaklu.

Dramat Juliusza Słowackiego to pozycja klasyczna, wiecznie żywa i aktualna. Oczywiście nie w sensie bezpośrednich odniesień do sytuacji współczesnych. Ta „aktualność" odnosi się do psychiki i natury ludzkiej nadal niezbadanej, mrocznej i tajemniczej, którą stać na największe poświęcenia i altruistyczne gesty, ale również największe morderstwa, okrucieństwo i niewiarygodny występek. Możemy więc patrzeć na ten dramat ze zrozumieniem w roku 1972, mimo iż powstał w odległych latach 1838—39, kiedy Słowacki przebywał w Rzymie.

Zwrócił na to uwagę przed spektaklem autor przedstawienia. Gustaw Holoubek wielokrotnie wypowiadał się na tematy teatralne mając zawsze do przekazania coś autentycznego. Tym razem próbował przekonać nas o racji swego wyboru dzieła tak pozornie odległego od naszych spraw. I było to wystąpienie potrzebne dla masowej widowni, jak również znacznie lepsze od tego, co mówią zwykle zawodowi prezenterzy.

O dobrym aktorstwie w teatrze poniedziałkowym nie wypada nawet wspominać. Przyzwyczajono nas już do tego, co jest na pewno m. in. ogromną zasługą tego teatru. Nie sposób jednak nie wspomnieć o Aleksandrze Śląskiej, jak zwykle pięknej, doskonale podającej każdą najdrobniejszą kwestię.

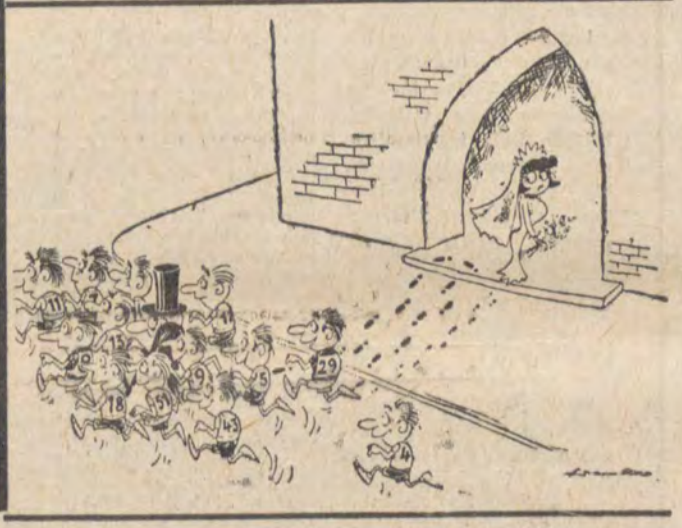

# „Płaszcz" Gogola

Nowela „Płaszcz" to jeden z najbardziej znanych utworów wielkiego pisarza rosyjskiego Mikołaja Gogola. W latach trzydziestych przysposobił ją dla teatru Julian Tuwim. Adaptacja Tuwima posłużyła z kolei Izabelli Cywińskiej do opracowania widowiska telewizyjnego.

Przypomnijmy krótko: bohaterem „Płaszcza" jest Akakij Baszmaczkin, urzędnik najniższej kategorii, człowiek skromny, żyjący prawie w nędzy, zastraszony przez przełożonych i stale wykpiwany przez kolegów. Kosztem najwyższych wyrzeczeń zdobywa płaszcz, płaszcz nie tylko okrycie, ale przede wszystkim symbol, zapowiedź zmian na lepsze, niejako awans w hierarchii społecznej. Płaszcz, jakbyśmy teraz powiedzieli, wyzwalający z kompleksów i frustracji.

Gogol jest jednak okrutny, jak okrutna była epoka, w której żyli owi nieszczęśni Akakijowie. Baszmaczkin zostaje obrabowany z płaszcza, co pośrednio staje się przyczyną jego śmierci. Jest w tej opowieści tak wielki ładunek społecznej tragedii, przedstawiony jednocześnie z wielkim artyzmem — że niepotrzebne i wręcz ze szkodą dla całości były końcowe fragmenty sztuki, ów dialog ducha Baszmaczkina z głupim, cynicznym i okrutnym generałem.

Był to jednak spektakl bardzo udany — i co trzeba szczególnie podkreślić — zagrany przez aktorów z Kalisza. Janusz Michałowski, w roli Baszmaczkina, był, bez przesady, wręcz doskonały. To na pewno aktorskie odkrycie ostatnich miesięcy. Jeszcze raz telewizja udowodniła jak wielką jest szansą dla aktorów spoza Warszawy i większych ośrodków. Janusz Michałowski doskonale tę szansę wykorzystał.

JAROSŁAW TARNO

## KOSZ NA POMYSŁY

# WĘDROWCY

**Niedawno pisałem w artykule pt. „Kosz na pomysły" o sposobach utrącania inicjatywy. Wymieniłem kilka takich sposobów, najczęściej spotykanych, choć jest ich znacznie więcej i wspomniałem, że niekiedy ludzie z inicjatywą, niespokojni duchem, nie są mile widziani w przedsiębiorstwie, czy instytucji. Bywa i tak, że bardziej szanuje się takich, co to nikomu nie wadzą, prochu nie wymyślą, a wszystkie polecenia wypełniają posłusznie i choć nie zawsze się z nimi zgadzają, to protesty zostawiają do dyskusji na imieniny u cioci lub u przyjaciela z dawnych lat. Takiego zdania jest również Edward D., który prosząc o zachowanie nazwiska i adresu do wiadomości redakcji, stwierdza, że niemile widziani są też ludzie, którzy nie ukrywają swoich uwag i poglądów.**

„Mam zwyczaj — pisze — traktować wszelkie sprawy dosłownie i poważnie. Uważam na przykład, że zebrania organizowane w przedsiębiorstwie mają służyć udoskonaleniu metod pracy, a nie stanowić okazji dla wzajemnej wymiany grzeczności i pochlebstw. Do tego, aby pracować i postępować lepiej, potrzebna jest szczera wymiana myśli, krytyczne odniesienie się do wszystkiego, co zrobiliśmy. To się jednak nie wszystkim podoba. Tak się też jakoś złożyło, że po kilku krytycznych uwagach musiałem zmienić pracę. Nikt niby nie miał mi nic do zarzucenia, bo z obowiązków wywiązywałem się dobrze, ale też skorzystano z pierwszej okazji, jaką była reorganizacja przedsiębiorstwa, aby przenieść mnie do usamodzielniającej się filii. Praca ta mi nie odpowiadała, więc poszukałem sobie innej. Wydaje mi się, że nie tylko ja znalazłem się w takiej sytuacji i dlatego dobrze byłoby omówić stosowane sposoby pozbywania się ludzi niewygodnych".

Chętnie korzystam z tej propozycji. Sposobów pozbawienia się ludzi niewygodnych jest wiele. Zapewne tyle samo, co sposobów utrącania inicjatywy, a może nawet więcej. A dzieje się to wszystko w myśl tej samej zasady: **wygodnego życia, bez kłopotów i ryzyka.** Chciałbym jednak rozszerzyć pojęcie „ludzi niewygodnych" również o tych, którzy nie tylko narazili się krytyką, ale którzy pnąc się po szczeblach kariery zawodowej, okazali się nieudolni, gdyż przekroczyli barierę swoich możliwości.

Socjolodzy i felietoniści spostrzegli już, że we współczesnym życiu społecznym i gospodarczym działają dwie różne tendencje. Z jednej strony ambicja, która każe każdemu dążyć do osiągnięcia pozycji znacznie przekraczającej jego możliwości. I z drugiej — ogromne zapotrzebowanie na ludzi z różnorodnymi kwalifikacjami. Zapotrzebowanie to jest większe od istniejących możliwości obsadzenia wakujących stanowisk ludźmi właściwie do tego przygotowanymi. W takiej sytuacji nie zawsze jest czas na przygotowanie rezerwowej kadry, bo każdy wyróżniający się człowiek szybko zostaje dostrzeżony i awansuje. Jeśli jego wiedza, predyspozycje i doświadczenie, a także umiejętność korzystania z wiedzy współpracowników, umożliwiają mu wykonanie czekających go zadań, to „człowiek rośnie", jak to się żargonowo określa. Jeśli nie — to rodzi się nowy kłopot. Co zrobić z takim facetem?

I tu zaczyna się największe nieszczęście. Człowiekowi nadal rosną ambicje i wyobrażenie o własnych, a nie istniejących możliwościach, aż przychodzi moment załamania. Koniec. Kropka. I wtedy są dwa wyjścia. Awansować dalej, albo cofnąć na właściwe miejsce, zgodnie z kwalifikacjami i umiejętnościami. Na szczęście nauczyliśmy się już korzystać z tego drugiego sposobu. Wiem, że to operacja bolesna, ale w porę zastosowana pomaga człowiekowi, nie rodzi w nim poczucia krzywdy i degradacji. Pozwala mu pozbierać się i daje szansę na awans rzeczywisty.

Takie są skutki ogromnych możliwości awansowania, wielkich potrzeb gospodarki i życia społecznego, sytuacji, które ktoś trafnie określił: **mamy dużo ludzi a jednocześnie mało ludzi.** Dużo, bo jest przeszło 8 milionów pracujących, a mało — bo brakuje ludzi z właściwymi kwalifikacjami do obsadzenia wolnych stanowisk. I to wszystko dzieje się w sytuacji, kiedy niemal w każdym wojewódzkim mieście jest wyższa uczelnia. Wystarczy przecież porozmawiać z dyrektorami dużych przedsiębiorstw, szczególnie w mniejszych ośrodkach przemysłowych, z dyrektorami zjednoczeń i wielkich instytucji, aby przekonać się, że to wszystko jest niezwykle trafnie podpatrzone.

Zdarzają się w naszej społecznej praktyce sytuacje, o których wspomina w liście Edward D. Sytuacje, kiedy w przedsiębiorstwie pojawia się rzeczywiście niewygodny człowiek. Pytanie tylko, dla kogo jest on niewygodny? Dla fabryki czy instytucji, czy dla ludzi, którzy nade wszystko cenią spokój i przede wszystkim boją się kłopotów. Jeśli dla nich, to można się spodziewać, że zawsze znajdą sposób, aby bezszmerowo pozbyć się takiego niewygodnego. Zastosują prawdopodobnie metodę **haka.** Polega ona na odczekaniu na pierwsze potknięcie człowieka, który im się naraził. A przecież już dawno zauważono, że błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi.

I wtedy można pomyśleć o **przeniesieniu.** Doświadczył tego Edward D. I nie on jeden. Jest to bowiem z reguły przeniesienie do **gorszej** pracy. Słabi pod takim ciosem załamują się, odchodzą z przedsiębiorstwa. Silniejsi, zaciskają zęby i walczą o swoje. Często przegrywają, rezygnują i pozostają przy gorszej pracy, bo albo przyzwyczaili się do niej, albo nie mają innego wyjścia. Często dużą rolę odgrywa przywiązanie do przedsiębiorstwa.

Ale jest też metoda najprostsza — **wymówienie.** Już wielokrotnie miałem okazję rozmawiać z ludźmi, którzy otrzymali wymówienie i przyszli z prośbą o pomoc. Powody wymówienia mogą być różne, ale zawsze mało istotne. Nie o to bowiem chodzi, a sprytny kierownik, pamiętając o skuteczności metody **haka,** umiejętnie łączy ją z wymówieniem. I bądź tu mądry, pomóż człowiekowi, kiedy wszyscy razem dobrze wiemy, że chodzi zupełnie o coś innego niż wydaje się, że chodzi faktycznie. Czasem jednak pomaga zwykłe odwołanie się do związków zawodowych, interwencja gazety, czy jednostki nadrzędnej. Sprawca wymówienia, znając prawdziwy powód zwolnienia, woli bowiem, aby o tej sprawie najmniej mówiono. Sam znam kilka takich przypadków, gdzie trzeba było aż interwencji komisji kontroli partyjnej, aby przywrócić pracownika do pierwotnych praw. Że kilku „zrehabilitowanych" po krótkim czasie samych odeszło, to już inna sprawa. Sprawiedliwości jednak stało się zadość.

Jest jeszcze możliwość zrobienia „właściwej" **atmosfery** wokół takiego „rozrabiacza", co to kala własne gniazdo i zamiast prać brudy we własnym gronie, wynosi je na zewnątrz. Trudno to nazwać bojkotem, ale sprytni kierownicy o feudalnych nawykach, potrafią tak obrzydzić człowiekowi życie, że ten im prędzej się wyniesie, tym lepiej się poczuje. I niby wszystko w najlepszym porządku. Owca cała, wilk syty, a niewygodny człowiek poszedł sobie gdzie indziej.

O takich metodach można nieskończenie. „Samo życie" — jakby to dawniej powiedzieli w radio. Ale ja z sugestii Edwarda D. skorzystałem z zupełnie innego powodu. Chcę bowiem zaproponować Czytelnikom pożyteczną zabawę.

**Każdy z nas w różnych dziedzinach życia spotyka się z ciekawymi a marnującymi się inicjatywami. Każdy ma ciekawe i jego zdaniem pożyteczne pomysły i projekty. Może też mieć trudności z ich realizacją. Może nie mieć gdzie zgłosić swoich propozycji i projektów. Piszcie więc do nas. Będziemy Wasze propozycje i listy drukować w rubryce „KOSZ Z POMYSŁAMI". Piszcie również o Waszych kłopotach w przedsiębiorstwie. Piszcie o pomysłach usprawnienia Waszej pracy. Będziemy starali się pomagać.**

Listy do nas adresujcie: **Redakcja tygodnika „ODGŁOSY", 90-950 Łódź, ul. Piotrkowska 96. Z dopiskiem: „Kosz na pomysły".**

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

# „Dzieje grzechu"

*„Dzieje grzechu" nie należą do najlepszych powieści Żeromskiego. Słabość, naiwność i anachroniczność fabuły „Dziejów grzechu" uniemożliwiają realizatorom adaptacji wskazanie na jakieś współczesne wartości intelektualne, etyczne czy wychowawcze utworu. Brak w nim nawet logicznego i rzeczowego wytłumaczenia postępowania głównej bohaterki. Nie sposób więc wystawiać na scenie „Dzieje grzechu", „dochowując wierności" tekstowi. Toteż adaptatorzy — J. Adamski i I. Strzemińska podzielili wątki fabularne na poszczególne sceny dramatyczne, skupiając główną uwagę na kolejnych fazach miłości Ewy do Łukasza. Pominęli natomiast takie fragmenty jak np. platoniczny związek Ewy z poetą Jaśniachem, jej pobyt w Majdanie i wiele innych dość istotnych dla całości scen. Reżyser spektaklu — Olga Koszutska dysponowała wybranymi fragmentami i szczegółami powieści. Stąd w wielu momentach brak jest powiązania poszczególnych wydarzeń w związki przyczynowo-skutkowe. Z tego powodu wiele scen, które powinny nieść ze sobą duże napięcie dramatyczne, jak np. miłosna scena Łukasza i Ewy, czy moment jej śmierci; wywołują na widowni śmiech.*

*Przy adaptacji utworów Żeromskiego istnieje także inna trudność, a mianowicie „emocjonalny" styl tego pisarza, prawie niemożliwy do przetłumaczenia na język teatru. Siła jego twórczości polega przede wszystkim na opisowej stronie powieści. Bohaterowie Żeromskiego są urzekająco piękni, gdy on sam o nich mówi. Natomiast dialogi w jego tworach są zazwyczaj słabsze. Widowskiem teatralnym oprócz dialogu rządzi też obraz sceniczny. Co innego jednak znaczy obraz poetycki adresowany głównie do ludzkiej wyobraźni, a co innego tworzenie tego obrazu na scenie. W przypadku zaś łódzkiej inscenizacji, obrazy te są mało plastyczne, a miejscami zbyt statyczne i sztuczne. Ruchy i gesty postaci reżyser ograniczył do minimum, dążąc raczej w kierunku teatru poezji.*

*Wobec wszystkich, przedstawionych powyżej zastrzeżeń niełatwe zadanie przypadło w udziale aktorom. Musieli bowiem „posiekane", „okaleczone" fragmenty połączyć ze sobą i stworzyć z nich w miarę możliwości zwartą całość, a z bardzo zubożonych postaci naszkicować wiarygodne i w miarę przekonywające, prawdziwe sylwetki poszczególnych bohaterów.*

*Niezmiernie trudną rolę miała Wanda Neumann jako Ewa Pobratymska. Część pierwsza „Dziejów grzechu" rozgrywa się przecież bardziej w świadomości i marzeniach Ewy, aniżeli w konkretnych wydarzeniach. Tym faktem można tłumaczyć niezupełnie wyrównaną grę W. Neumann. Przypominała ona współczesną dziewczynę, której od samego początku brak naiwnej radości i zapału młodego dziewczątka. Ewa w łódzkim przedstawieniu jest od razu kobietą jakby intuicyjnie świadomą wszystkiego co ją czeka. Ma w sobie męstwo, energię, świadomość i siłę prawego człowieka nawet w chwilach załamania, upodlenia i moralnego upadku. Jej gra jest grą wielkich lecz tajonych namiętności.*

*Najbliżsi bohaterom Żeromskiego okazali się jednak: Jan Zdrojewski jako hrabia Szczerbic — szlachetny, wspaniałomyślny opiekuńczy ale też naiwny i łatwowierny. Świetny kontrast w porównaniu z nim stanowiła para — Pochroń (Bogusław Sochnacki) nie przebierający w środkach, choć silący się na pieszczotliwe słówka i gesty łotrzyk i cwaniak; oraz Płaza — Spławski (Bogdan Mikuć) przypominający swym wyglądem, sposobem mówienia i poruszania się bezwzględnego potwora, o bezdusznej, nieruchomej masce zamiast twarzy. Również propozycję osoby Ojca (Zygmunt Zintel) można śmiało scharakteryzować słowami Żeromskiego: „Jest to jedyne, kochane, najmilsze niewinne, bezradne dziecko. Stary malec". Ryszard Dembiński jako Horst — miał w sobie równocześnie coś z filozofa, rozkapryszonego dziecka, wścibskiej plotkarki i nieszczęśliwego kochanka.*

*Rys. A. Grun*

**MIECZYSŁAWA WALCZAK**

Teatr Nowy. „Dzieje grzechu" — Stefan Żeromski. Adaptacja — Jerzy Adamski i Irena Strzemińska. Reżyseria — Olga Koszutska. Scenografia — Henri Poulain.

# Zamki błyskawiczne

**2 grudnia 1972.**

**Sierżant Stefan Rajski** pachnąc Yardleyem, jakby napisał Zeydler-Zborowski, w doskonałym nastroju, jakby napisała Barbara Gordon, udał się wczesnym rankiem na swą codzienną służbę w rejonie Hali Targowej. Służba w tej okolicy, jakbym napisał ja, nie jest raczej nudna. Dokładnie o godz. 10,15 sierżant zauważył dwóch młodzieńców, handlujących zamkami błyskawicznymi. Sprzedawali zamki po cenie przystępnej, rzec można konkurencyjnej w stosunku do cen państwowych — 5 zł sztuka. Czynili to gorliwie, brak kwalifikacji nadrabiając niejako spontanicznością. Zatrzymani przez sierżanta Rajskiego bez większych ceregieli ujawnili źródło, z którego czerpali całymi garściami owe zamki, zwane popularnie ekspresami.

**— Przebywałem dwa lata w Domu Dziecka przy ul. Worcella** — odrzekł jeden z młodych osobników — **i jak opuszczałem Dom, wziąłem kilkanaście sztuk zamków na pamiątkę. Ile wziąłem, nie pamiętam, nie liczyłem. Brałem garściami. Jest ich tam jeszcze w piwnicy tyle, że w ciągu najbliższych 500 lat moi koledzy z Domu Dziecka nie zdołają tego zużyć. Drzwi do piwnicy są zaś przeważnie owarte, więc bez trudu każdy się może w te ekspresy zaopatrzyć, żadna sztuka, nie.**

**2 grudnia 1972, godzina 11,30—12,30**

Młodzi handlowcy nie wzbudzili zaufania w sierżancie Rajskim i chyba właśnie dlatego, że nie wzbudzili, ekipa milicyjna odwiedziła wskazany Dom Dziecka. Wizyta okazała się nad wyraz owocna, młodzieńcy prawdomówni, a widok przerastający wszelkie wyobrażenia. W piwnicy odkryto duży zapas ogromnych skrzyń, wypełnionych po brzegi zamkami błyskawicznymi. Chłopcy nie przesadzili, po skrupulatnym obliczeniu dorachowano się 49.678 sztuk zamków.

**2 grudnia 1972, godz. 14,00**

Ponieważ funkcjonariusze MO nie uwierzyli, że tak olbrzymie zapasy mogą pochodzić od św. Mikołaja, udali się do pani **Ireny Możejko**, która jest dyrektorem tego Domu Dziecka z zamkami. Pani Możejko oświadczyła, że przed czterema laty otrzymała te zamki gratis z **Centralnych Magazynów Pasmanteryjnych.** Przywieziono je i zwalono na dziedzińcu Domu Dziecka. Nie ulega więc wątpliwości, że ci, co je przywieźli, kierowali się wyłącznie miłością do dzieci. Wielce szlachetni jacyś ludzie. Osobiście zawsze głęboko mnie wzrusza taka rozbrajająca troska o bliźniego. Jasne, bez ekspresu nie ma życia.

**6 grudnia 1972 roku**

Telefon do **Składnicy Importowej Artykułów Odzieżowych.** Telefon odbiera dyrektor do spraw handlowych, **Jerzy Pawlak.** Dyrektor Pawlak stwierdza autorytatywnie, że od dziesięciu lat nie przeprowadzono żadnego wybrakowania zamków błyskawicznych podobnego typu, jakie znaleziono w Domu Dziecka przy ul. Worcella 10/12 oraz nie przekazano nieodpłatnie żadnemu przedsiębiorstwu.

**7 grudnia 1972 roku**

Dyrektor Pawlak stawił się osobiście i oświadczył, ale już mniej kategorycznie, że owszem, przekazywano nieodpłatnie zamki błyskawiczne plastikowe produkcji czeskiej. Zobowiązał się nawet dostarczyć pismo, na podstawie którego te zamki przekazywano.

**11 grudnia 1972 roku**

Przyrzeczone przez dyrektora Pawlaka pismo przychodzi. Brzmi ono następująco:

**„Składnica Importowa Artykułów Odzieżowych informuje, że 3. 9. 1968 r. na podstawie specyfikacji nr 31503 przekazała nieodpłatnie 16 skrzyń zamków błyskawicznych plastikowych do Domu Dziecka... Wspomniane na wstępie zamki występowały w zapasach Składnicy jako towary trudno zbywalne. Mimo stosowania różnych form sprzedaży jak upłynnienie za pomocą Polskiej Agencji Handlowej, zgłaszanie na giełdy przerzutowe w Poznaniu i Bielsku oraz oferowanie na warunkach komisowych do detalu i przecenę na przestrzeni wielu lat — nie znajdowały nabywców.**

**Ponieważ przez tak długi okres czasu zamki te nie znalazły nabywców, postanowiono na podstawie Zarządzenia nr 137 (...) dokonać likwidacji przez przekazanie ich do Domu Dziecka".**

**12 grudnia 1972 roku**

**Zjednoczenie Przemysłu Artykułów Technicznych i Galanteryjnych,** po przeprowadzeniu ekspertyzy stwierdza, że wspomniane zamki są zdatne do użytku, odpowiadają normom przyjętym do tego rodzaju artykułów. Wyniki badań podpisali: kierownik działu kontroli jakości — inż. **Bronisław Grisz,** K. T. Izba Pomiarów — **Antoni Świerczak.**

**18 grudnia 1972 roku**

Przeprowadzono rozmowę z ob. **Sobolewskim z Wydziału Zaopatrzenia Przemysłu Odzieżowego.** Instytucja ta wyraziła chęć nabycia zamków, stwierdzając, że mogą one być użyte do odzieży sportowej.

**12 stycznia 1973 roku**

Rozmowa z dyrektorem Pawlakiem na okoliczność dostarczenia dokumentów, świadczących o tym, że przedsiębiorstwo czyniło wiele starań związanych ze sprzedażą zamków. Dyrektor Pawlak oświadczył, że dokumenty te były poszukiwane, lecz nie zostały odnalezione, prawdopodobnie przekazano je na makulaturę.

Być może, że przekazano je znów do jakiegoś Domu Dziecka.

**15 stycznia 1973 roku**

Eureka! Jest! A co jest? Poczytajmy:

**„Składnica Importowa Artykułów Odzieżowych przesyła w załączeniu odpis pisma jednostki nadrzędnej, na podstawie którego dokonała likwidacji zamków błyskawicznych przez nieodpłatne przekazanie ich do Domu Dziecka w Łodzi".** Podpisał dyrektor: **A. Noczkowski.**

Zawsze mówię, że trzeba tylko dobrze poszukać, a znajdzie się wyjście z trudnej sytuacji. Jakie to szczęście, że istnieją jednostki nadrzędne. Oczywiście, dla jednostek podrzędnych.

**K. BADZIAK**

# KOKOTA I ARTYŚCI

Gdyby stary Dumas (ojciec) słynny powieściopisarz, autor „Trzech muszkieterów" pozwolił swemu, również utalentowanemu, synowi na romans z piękną kurtyzaną Marią — literatura, muzyka, a jak się ostatnio okazuje, i balet, straciłyby na tym ogromnie. Zakochany Aleksander Dumas (syn) rzuca piękną Marię, a kiedy do niej powraca zastaje ją na łożu śmierci. Wstrząśnięty losem pięknej i w jego przekonaniu zakochanej w nim dziewczyny, tworzy po jej śmierci melodramatyczną powieść „Damę kameliową", historię kurtyzany uszlachetnionej przez prawdziwą i wielką miłość.

Powieść ukazuje się w druku w roku 1848, gdy Aleksander Dumas ma lat 24. Zachęcony powodzeniem dzieła przerabia je na sztukę sceniczną i piękna Małgorzata Gautier, wzorowana na jego Marii, umierać będzie odtąd na scenie aż po nasze czasy. Najwybitniejsze aktorki wcielać się będą w tę piękną i szlachetną gruźliczkę gasnącą w chwili gdy życie przynieść ma jej istotne szczęście i ustabilizowany los. Słynna Sarah Bernhardt stworzyła wzruszającą kreację Małgorzaty, a niemniej słynna aktorka włoska, Eleonora Duse traktowała „Damę kameliową" jak swój żelazny i niezawodny spektakl, którym święciła triumfy we wszystkich niemal stolicach Europy, a także w Ameryce.

Ta „Loye story" sprzed ponad stu lat, ten melodramat, na granicy zwykłego kiczu, robił i robi swą niezwykłą karierę dzięki temu, że historia pięknej i szlachetnej kurtyzany stawała się inspiracją twórczą dla artystów genialnych. Nie miał chyba, mimo wszystko, racji Aleksander Dumas (syn), który twierdził, że **„za pięćdziesiąt lat nikt nie pamiętałby Damy kameliowej. To Verdi ją unieśmiertelnił".** Może i bez Verdiego oglądalibyśmy sceniczną tragedię suchotnicy po dziś dzień, ale Verdi istotnie swym geniuszem muzycznym nadał jej cechy nieśmiertelności. Jego Violetta, niemal identyczna z Małgorzatą Gautier Dumasa nie tylko cierpi, kocha i umiera, ale śpiewa w takt jego wspaniałej muzyki.

Już na paryskiej premierze scenicznej przeróbki „Dama kameliowa" zrobiła na Verdim kolosalne wrażenie. I oto w rok później Verdi wystawia operę o damie kameliowej, „Traviatę" (po włosku znaczy „Zbłąkana") w Wenecji. I doznaje całkowitej porażki.

**Przypomnijmy króciutko treść „Traviaty", opartej na dumasowskiej „Damie kameliowej". Oto operowy bohater, Alfred zakochuje się w pięknej kurtyzanie, która ma na imię Violetta. Dziewczyna z początku nie odwzajemnia uczuć młodego, przystojnego i bogatego człowieka. Wyznania miłosne swego wielbiciela zbywa żarcikami i kpinami. Ale wreszcie w sercu Violetty budzi się prawdziwa, wielka i szlachetna miłość. Oboje wyjeżdżają z Paryża, aby żyć na wsi, oddani tylko sobie i swej miłości. Bogaty Alfred nieprzyzwyczajony do myślenia o tym skąd się czerpie środki na utrzymanie, przeocza sprawy finansowe i dopiero przypadkiem dowiaduje się od służącej swej ukochanej, że Violetta wyprzedaje swe klejnoty, by móc egzystować ze swym kochankiem. Alfred wyrusza więc do Paryża, by uzyskać pieniądze. W tym to czasie u Violetty zjawia się ojciec Alfreda. Przekonuje piękną kurtyzanę, że swą miłością rujnuje szczęście i przyszłość Alfreda. Violetta jakkolwiek bardzo i szczerze zakochana w Alfredzie, postanawia poświęcić swą miłość dla dobra ukochanego. Przyrzeka więc ojcu Alfreda, że zerwie z jego synem. Tak się i staje. Alfred sądzi, że Violetta go porzuciła dla kogoś innego. Mści się więc na niej, publicznie na balu rzucając jej w twarz pieniądze, jako zapłatę za chwile z nią spędzone. Wkrótce jednak Alfred dowiaduje się prawdy. Violetta go nie zdradziła. Powodowana troską o jego karierę, zrezygnowała ze swego szczęścia, poświęciła się i teraz cierpi po zerwaniu z kochankiem. Alfred natychmiast odwiedza Violettę. Niestety dziewczyna jest umierająca. Na nic nie przyda się już zgoda ojca Alfreda na małżeństwo jego syna z piękną i szlachetną kurtyzaną.**

Dlaczego opera została początkowo źle przyjęta? Widzom i krytyce wydała się niemoralna, wręcz skandaliczna. Jej treść była krytyką ówczesnych mieszczańskich obyczajów, naruszała zasadę hierarchii społecznej. Romantyczne zapały Dumasa (syna) wierzącego w oczyszczającą potęgę miłości, równającą nierówne warstwy społeczne, przeniknęły do „Traviaty". Giuseppe Verdi poniósł klęskę mimo swego geniuszu muzycznego. Ale kompozytor nie rezygnuje. Postanowił za rok wystawić jeszcze raz „Traviatę" i to w tej samej Wenecji. Zastosował tylko prosty, i jak się potem okazało, doskonały chwyt. Oto nic nie zmieniając w samej treści i muzyce opery, wystawił ją w kostiumach sprzed prawie półtora wieku. A więc była to teraz już opera w treści swej historyczna. Burżuj mógł ją podziwiać bez obawy, że to do niego jest skierowana. I wtedy „Traviata" osiągnęła olbrzymi sukces. Odtąd stała się, aż po dzień dzisiejszy jedną z najbardziej trwałych i klasycznych pozycji repertuaru ośrodków operowych.

Ostatnio „Traviata" przybiera nowy kształt. Pierwowzór pięknej i szlachetnej kurtyzany teraz ulega nowej transformacji. Przy muzyce Verdiego widzowie oglądać mogą tańczącą Violettę.

Béjart, jak wiadomo, jeden z najsłynniejszych dziś choreografów, znany jest ze swych śmiałych, nieraz bardzo oryginalnych pomysłów baletowych. Béjart uczynił swą „Traviatę" mniej melodramatyczną. Violetta występuje niemal stale sama. Jest centralną postacią. Béjart śpiewaków porozmieszczał w lożach i wśród publiczności. A Violetcie towarzyszy jak cień, zbliżający się i oddalający tancerz, który w niektórych scenach występuje — po raz pierwszy u Béjarta — zupełnie nagi. Béjart nie chce zdradzić nawet jego nazwiska. Określa go jako „A. D.", a uosabiać on ma według béjartowskiej koncepcji, zarówno Aleksandra Dumasa (syna) jak i Armanda Duvala (bohatera „Damy kameliowej"). W roli zaś głównej Traviaty-Violetty i Małgorzaty-Damy kameliowej zarazem, występuje młoda tancerka grecka Vasso Papantoniou.

Szefem muzycznym „Traviaty" Béjarta podług Verdiego, jest również Grek, Manos Hadjidakis, autor słynnych „Dzieci Pireusu". Widowisko baletowe Béjarta wystawiane jest obecnie w Brukseli, bo tam, jak wiadomo, choreograf ze swym baletem ma swą siedzibę. We wrześniu bieżącego roku „Traviata" Béjarta będzie wystawiona w Paryżu w Théatre des Champs-Elysées.

**JANUSZ SKOSZKIEWICZ**

PRZEŚCIGOŚĆ teraźniejszość

# ŚREDNIOWIECZNE SKOJARZENIA

Plan Barbarossa: co te słowa znaczą, wie dzisiaj każdy czytelnik codziennych gazet. Tym właśnie kryptonimem opatrzono tajną dyrektywę nr 21, podpisaną przez Adolfa Hitlera 18 grudnia 1940 r., a określającą polityczno-strategiczne założenia polityki III Rzeszy w stosunku do Związku Radzieckiego. „Niemieckie siły zbrojne muszą się przygotować, by jeszcze przed zakończeniem wojny z Anglią rozgromić Rosję Radziecką w błyskawicznej kampanii" — tak brzmiało pierwsze zdanie tego tajnego dokumentu. Plan Barbarossa: nazwa ta kojarzy się z milionami istnień ludzkich, z bitwą nad Wołgą i obroną Stalingradu, w najmniejszej zaś mierze nie budzi skojarzeń z... historią średniowieczną, chyba, gdybyśmy — zresztą bezskutecznie — szukali w tamtej epoce miernika dla określenia bezmiaru hitlerowskiego barbarzyństwa.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek wiedziałem kto wpadł na pomysł użycia w kryptonimie imienia średniowiecznego cesarza rzymskiego (nie rzymskiego narodu niemieckiego, jak niekiedy uczą w szkole, bo ta ostatnia nazwa jest znacznie późniejsza), pierwszego przedstawiciela dynastii Sztaufów na niemieckim tronie Fryderyka I Barbarossy (Rudobrodego). W każdym razie posłużenie się tym imieniem nie było przypadkiem, chodziło bowiem o skojarzenie tradycji wielbionego monarchy z dawnych czasów z teraźniejszością polityką niemniej wielbionego Führera. Chodziło o skojarzenie tylekroć wychwalanej w niemieckim piśmiennictwie „polityki wschodniej" Barbarossy z nową polityką wschodnią III Rzeszy, o wydobycie historycznych analogii, które komuś tam musiały się wydawać wcale bliskie. Ale generał, czy też wyższy funkcjonariusz NSDAP, ten, który sięgnął do tego historycznego arsenału, miał jak się wydaje o dawnych dziejach własnego kraju pojęcie raczej ogólne, jeżeli nie wprost mętne. Wiedział, że należy czcić Fryderyka I za jego agresywną politykę na wschodzie, ale zdaje się, że gdyby wiedział o niej coś więcej. Analogia między Frydrykiem a Adolfem była całkiem inna niż sobie życzono.

Fryderyk I jak wiadomo uwikłał się w długotrwałą wojnę na terenie Italii, która wprawdzie przyniosła mu pewne sukcesy, jednak znacznie przyczyniła się do osłabienia jego pozycji we własnym państwie. Dlatego też jął gwałtownie... potrzebować możliwie łatwego, szybkiego, a co najważniejsze rozgłośnego sukcesu, triumfu o którym wszystkim byłoby wiadomo, który rozsławiłby go jako niezwyciężonego monarchę i zamknął usta wszystkim niezadowolonym z jego polityki. I dlatego udzielił wreszcie poparcia podszeptom pałętającego się po jego kraju, wygnanego z Polski Władysława II i na czele silnego wojska, z wielkim, obliczonym na efekt rozmachem wkroczył do Polski. Osobiście dbał, aby ta triumfalna, w zamierzeniu oczywiście, wyprawa miała jak najlepszą oprawę propagandową, nie tylko wziął ze sobą ludzi, którzy mieli rozgłaszać jego chwałę, ale sam zabrał się do roboty, kreśląc w pięknej łacinie długie listy o swych wiktoriach, adresowane do opata Wibalda z klasztorów w Stablo i Korwei. Cesarz szukał glorii i wiktorii, ale nie udało mu się ich znaleźć i chociaż jakimś tam sukcesem był wymuszony hołd krzyszkowski, przecież wypadło mu wracać bez triumfów, bez łupów i bez tłumów uprowadzonych jeńców. Wspaniałe zamierzenie propagandowe po prostu wzięło w łeb.

I o tym mógłby wiedzieć każdy, kto zaglądnąłby do którejkolwiek z podstawowych niemieckich prac o czasach Fryderyka I, takich jak dzieła H. Simonsfelda czy E. Kantorowicza. Oczywiście prawowierny członek NSDAP — a przecież nikt inny nie mógłby formułować kryptonimu dla ważnej operacji — nie sięgnąłby do ich dzieł, bowiem ci autorzy nie zasługiwali na wiarę z racji swego żydowskiego pochodzenia, ale byli przecież inni, którzy pisali to samo, a byli gorliwymi entuzjastami nowego, hitlerowskiego ładu. Ale kogo obchodziło, jak to w średniowieczu było naprawdę?

Hitlerowscy dygnitarze lubowali się w nawiązywaniu do dawnych czasów I Rzeszy Niemieckiej. Kiedy do H. Himmlera dotarła wiadomość, że niejaki Bolesław Chrobry miałby być posiadaczem godności rzymskiego patrycjusza — spór w tej sprawie toczył się w nauce od lat kilkudziesięciu — osobiście wydał dyspozycje, aby... sprawdzić i zdementować te plotki. Gdy odgrzebano grób założyciela I Rzeszy Henryka Ptasznika władze zorganizowały ogólnopaństwową fetę: bezustanne warty godnych rycerzy z SS, sztandary. Wówczas skromny historyk C. Erdmann w arcyhermetycznym, ultranaukowym czasopiśmie opublikował artykuł, w którym czarno na białym wykazał, że ów grób wcale nie jest grobem Henryka I. Okazało się, że władze ceniły naukę: warty zdjęto, grób zamknięto, a historyka ubrano w mundur i wysłano w celach reedukacyjnych na front jugosławiański, by już rychło móc ogłosić nekrolog o jego śmierci za Führera.

Jeden z najwybitniejszych mediewistów niemieckich młodszego pokolenia, który otwarcie występował przeciw narodowosocjalistycznemu systemowi, już wcześniej został karnie usunięty z uniwersytetu. Pośmiertne wydanie jego pism było jednym z pierwszych przedsięwzięć wydawniczych, zrealizowanych w Niemieckiej Republice Demokratycznej.

**LEKTOR**

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

Zdarzeni A • I • Zwierzeni A

# TO JUŻ WIOSNA!

Wbrew temu, co twierdzą astronomowie i specjaliści od kalendarzy, prawdziwa wiosna zaczyna się pierwszego kwietnia, a nie 21 marca. Dopiero pierwszego kwietnia czujemy powiew wiosennego wiatru, jakoś oddycha się nam wiosenniej — choćby nawet tego dnia padał śnieg.

Tak już to jest i nic na to nie pomoże nawet Wicherek, który wiosnę wieścił nam dziesięć dni temu, A jak wiosna, to i psikusy wiosenne zwane dowcipami primaaprilisowymi.

Dzień pierwszy kwietnia jest takim właśnie dniem, kiedy wszystko jest możliwe. Czyli dzień jak co dzień. Do primaaprilisowego surrealizmu jesteśmy bowiem świetnie przygotowani i nic nas zdziwić nie może. A tradycje nonsensowego żartu, nie tylko z okazji 1 kwietnia, są w polskim piśmiennictwie przebogate. „Dziwy albo absurda". znajdziemy w poezji Stanisława Trembeckiego, czyli jeszcze w wieku osiemnastym. Czytamy tam:

„Trzy prześlice jechały
na słomianym wozie,
Koza wilka prowadzi w
rucianym powrozie,
Kożuch poszedł do lasu
i ułowił śledzia,
Pomiotło zaś pływając
zabiło niedźwiedzia".

Także i pieśni ludowej, pozornie tak realistycznej i racjonalistycznej, nie obce są absurdalne igraszki słowne. Dzieją się w tych pieśniach sprawy surrealistyczne, jakby przeznaczone na pierwszokwietniową zabawę.

Mnóstwo jest w polskim piśmiennictwie przykładów kpin ze zdrowego rozsądku. Zamierzona antylogika tych wierszy i pieśni była swego rodzaju buntem przeciwko rygorom i normom świata. W tych zabawnych rymowankach ów świat przewracał się do góry nogami, wszystko się tu działo na opak. Jak w tej ludowej piosence:

„Zląkł się zając, biegł
przez cmentarz
Obalił dzwonnicę.
Kazał mu ksiądz grzywnę
płacić
Marmurową świcę.
Stodoła się rozigrała
Zająca goniła
A izba się roześmiała
Oknem wyskoczyła.
Siekierka się ocieliła
Za piecem na grzędzie
Łyse cielę porodziła
Pono księdzem będzie".

Purenonsensowe widzenia świata było i jest ulubioną zabawą nie tylko artystów, ale i zwykłego czytelnika, który przynajmniej 1 kwietnia chciałby przeczytać w gazecie bujdę tak piramidalną, żeby nie było już żadnej wątpliwości, że jest to absolutny nonsens i zgrywa.

W swoim czasie popularny był wiersz, wywracający historię do góry nogami, wiersz — protest przeciwko temu, co ustalone i wiadome. Nie wiadomo natomiast, kto napisał ów popularny utwór, nie wykluczone, że był to historyk, który rankiem, 1 kwietnia, poczuł, że ma dość owej poszufladkowanej wiedzy na temat. Dlatego napisał:

Kiedy Kara Mustafa, wielki
mistrz Krzyżaków
Szedł z licznymi zastępy
przez Alpy na Kraków,
Do obrony swych posad
zawsze będąc skory,
Pobił go pod Grunwaldem
król Stefan Batory.
Wtedy to śród Sahary,
w onym kraju futer
Szczepił nową religię
sławny Marcin Luter.
I pracując gorliwie piórem
i wymową
Zginął razem z Homerem
w noc Bartłomiejową
W tym to czasie Kopernik,
wojażer na Wschodzie
Robił świeże odkrycia na
lądzie i wodzie.
Objechawszy żaglówką
Azję i Afrykę
Po miesiącu podróży odkrył
Amerykę.
Mieszkańcy Wysp
Brytyjskich schwytawszy
go wreszcie
uwięzili w Kairze, a zabili
w Peszcie.
Wtedy od króla Łokietka
przybył do nich goniec
i na miesiąc położył
wszystkim wojnom
koniec...".

Ta zabawna fantastyka ma jednak chyba jakiś głębszy sens. Jest protestem przeciwko nudzie świata uładzonego, przeciwko realiom „zgodnym ze stanem wiedzy", przeciwko sztampie.

Julian Tuwim twierdził, że fantastyka i skłonności do absurdalizacji świata są zjawiskami przyrodzonymi, naturalnymi. Przecież dzieci, nawet współczesne, nie obejdą się bez złudy, bajki, zmyślenia, fantastyki. Dzieci bzdurzą i — że tak powiem — chcą być bzdurzone. Potem im to przechodzi. Któremu nie przejdzie, zostaje poetą. A my, smutni, dorośli ludzie, głupiejemy, wchodzimy w gorsety rzeczowości, logiki, realiów, stanu wiedzy...

A jednak atawistyczny kult bredni każe nam pierwszego kwietnia szukać w gazetach dub smalonych i bujd na resorach. Odzywa się w nas ta tęsknota za rozigraną fantastyką.

**WIDOK**

LEWYM OKIEM!

# SZEŚĆ, TO WŁAŚNIE TRZY I PÓŁ!

Pamiętam z jakiejś dawno czytanej humoreski studenta, który mawiał: ponieważ mój zegarek wskazuje za pięć piątą, a mamy dziś pierwszy wtorek miesiąca, to znaczy, że jest piętnaście po siódmej.

Jeśli stopa pani mierzy dwadzieścia trzy centymetry długości, to powinna pani żądać w sklepie bucika numer dwadzieścia trzy, co na pewno spowoduje osłupienie sprzedawczyni. Bowiem większość pań pyta o numer sześć, co jak wiadomo znaczy trzy i pół. Trzeba tylko błyskawicznie uruchomić w głowie licznik: sześć — to nie sześć, tylko trzydzieści sześć, wg sztychowej numeracji francuskiej, a to znaczy trzy i pół na bucie. Co to znaczy „na bucie"? To znaczy, że na podeszwie jest wybity numer 3 1/2, co wcale nie znaczy, że but będzie na panią pasował. „Szóstka" bowiem (czyli 36) to może być 3 1/2, ale lepiej niech będzie czwórka, czyli dwadzieścia trzy i pół. Czyli po zmierzeniu bucika linijką będzie on miał dwadzieścia cztery i pół centymetra długości, bo musi być jeszcze „naddatek". Czyli w ogóle nic nie znaczy nic i najlepiej skacząc na jednej nodze przymierzać pięć butów po kolei, aż wreszcie wielkość będzie dobra, ale obuwie całkiem inne.

Jeśli masz — młody człowieku — siedemnaście lat, to nie powinieneś być wyższy nad 175 centymetrów, bo nie znajdziesz dla siebie odzieży. Powyżej tego wzrostu jest już tylko odzież męska, a to znaczy — pomyślana dla panów o co najmniej 88 cm w pasie. Nic nie pomoże twierdzenie, że młodzież mamy wysoką a szczupłą. Tabele rozmiarowzrostów wiedzą lepiej, jaka powinna być młodzież. Zresztą co tam tabele: sklepy wiedzą lepiej niż tabele i trzeba niesłychanie szczęśliwego przypadku, żeby znaleźć w Łodzi powiedzmy, wiosenny płaszcz z podpinką dla pana ponad 184, i to nie taki, jaki akurat wisi smutno od wielu miesięcy i będzie jeszcze wisiał parę lat tylko taki do noszenia.

Jeśli pan potrzebuje koszuli z tkaniny o numerze kołnierzyka 41, to może kupić albo na wzrost 175 cm, albo 185 cm, chociaż po moich własnych doświadczeniach nie wierzę, że ten drugi wariant istnieje gdziekolwiek poza tabelą rozmiarowzrostów. W „Uniwersalu" i w „Centralu" nie istnieje. Natomiast ten sam pan, jeśli zachce mu się koszuli nie z tkaniny, tylko z dzianiny, musi sobie mierzyć albo 174 cm wzrostu, 98 cm w klatce piersiowej i 82 cm w pasie, a wtedy jak wiadomo kupuje koszulkę numer 6, albo 182 cm wzrostu, 104 cm w biuście i 88 cm w pasie, co oczywiście oznacza siódemkę. Rękawy przy 8 cm różnicy wzrostu prawie że się nie różnią co do długości, tym większy kłopot będzie więc dla pana o wzroście ponad 182. Takich panów przemysł dziewiarski nie dopuszcza. Niech sobie dorabiają rękawy szydełkiem. Przemysł nie-dziewiarski zaś, ten od koszul tkaninowych, nie interesuje się rękawami w ogóle i w swoich tabelach (przynajmniej tych ogłoszonych w katalogu Domu Sprzedaży Wysyłkowej) o rękawach wcale nie wspomina. Za duże głupstwo — rękaw.

Strasznie to skomplikowana wiedza. Pewien mój znajomy uczący się grać na pianinie, skarżył się kiedyś, że nuty były całkiem proste, mieściły się na pięciu liniach, dopóki ktoś złośliwy nie wziął i nie skomplikował wszystkiego dodając bemole, krzyżyki i inne cuda. Teraz nutkę z paroma bemolami czyta się tak samo jak inną bez bemoli i nikt nie wie dlaczego nie można napisać od razu tej innej?

Ten człowiek pewnie nie miał racji, ale czy aby z koszulami, spodniami i butami nie skomplikowaliśmy sprawy za bardzo? W Niemieckiej Republice Demokratycznej wystarczy mi tylko popatrzeć, czy na koszuli obok numeru kołnierzyka jest literka L, co oznacza dłuższy rękaw. W każdym numerze są takie „L" i takie bez „L". I już. Wzrost nie ma tu wiele do gadania, najwyżej skraj koszuliny będzie nieco bliżej paska — żadne zmartwienie. Za to mankiety są tam gdzie trzeba i nie uciekają pod pachy.

Skomplikowana jest ta rozmiaro-wzrosto-logia i w dodatku obciąża się nią wyłącznie konsumenta. Sprzedawcy nic o tym wszystkim nie wiedzą. Sam metodą kolejnych prób i błędów doszedłem do tego, że istnieją pod słońcem dwa rozmiary szelek męskich. Żaden sprzedawca nigdy mi tego nie powiedział. Żadna panienka w żadnym sklepie obuwniczym nie potrafi przetłumaczyć a vista numeru francuskiego lub angielskiego na metryczny, który z trudem a słusznie wprowadza się do powszechnego stosowania. W pewnym sklepie w Łodzi zapytałem panienkę czy nie widziała nigdy na oczy tablicy porównawczej, zestawiającej te trzy numeracje. Nie, nie widziała nigdy. Ta tablica wisi od dawna w jej własnym sklepie, na samym froncie!

W sklepach z odzieżą widnieją nad wieszakami tabliczki informacyjne: prawie nigdy odzież, która tam wisi, nie jest zgodna z informacją na wywieszce. Ani w „Uniwersalu", ani w „Centralu". Trzeba każdą sztukę osobno sprawdzić, żeby się przekonać, że naprawdę nie ma tego co potrzebne. W sklepie dla nietypowych przy Piotrkowskiej 105 jest absolutnie to samo co wszędzie, a kierownik dziwi się naszemu zdziwieniu: przecież napisano na szybie „ubrania", a nie płaszcze, jesionki i koszule?

Faktycznie. Ręce nam opadają, studiujemy tabele, uczymy się szyfrów i zaklęć. Nic nie pomoże. Handel wykona plan i bez nas.

**ĆWIEK**

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17.
Zam. 636. T-4.